

Hrabyk, Klaudiusz

Wspomnienia, cz. V

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 10/2, 189-226

1971

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KLAUDIUSZ HRABYK

WSPOMNIENIA

W kolejnym fragmencie *Wspomnień* Klaudiusza Hrabyka, które w drukowanych poprzednio zeszytach objęły okres dziennikarskiej działalności autora w Krakowie (1920—1925), w Katowicach (1926) i we Lwowie w latach 1926—1934, obecny rozdział dotyczy lat 1934—1935 i wychodzącej w tym czasie lwowskiej „Akcji Narodowej”, wydawanej i redagowanej przez autora.

Redakcja

[...] Innego rodzaju sprawa wynikła w tym czasie (1930 r.) na tle problemu ukraińskiego. Niemal nazajutrz po wyborach w 1930 r. w „Dile”, centralnym organie UNDO, tj. Ukraińskiego Narodowo-Demokratycznego Objednania, czyli Zjednoczenia, ukazał się cykl artykułów, których wyrażona tendencja wyrażała nieoczekiwanie program współpracy ukraińskiej z Polską. Treść tych wypowiedzi była wręcz szokująca, zważywszy, że było to po Brześciu i po wyborach, które nie stanowiły wzoru wolnych wyborów demokratycznych i Ukraińcy mieli dostatecznie sporo powodów, aby zachowywać jak najbardziej krytyczny i opozycyjny stosunek wobec polityki rządu. Pamiętać również należy, że od wielu lat tajna ukraińska organizacja terrorystyczna przy współdziałaniu niemieckich czynników wojskowych rozwijała na terenie Polski akcję terrorystyczną, dokonując bez przerwy zamachów i mordów politycznych.

Jak się okazało, autorem cyklu o ugodowych tendencjach był Iwan Keđryn-Rudnickij, korespondent warszawski „Diła”, rodzony brat Mileny Rudnickiej, posłanki i wybitnej, nieprzejednanej przedstawicielki skrajnego skrzydła szowinistów ukraińskich. Milena Rudnicka znana była z akcji wnoszenia różnych zażaleń przeciw Polsce na terenie Genewy, gdzie zresztą, podobnie jak w ogóle w kołach międzynarodowych, cieszyła się znaczną popularnością i posiadała szerokie stosunki. Innym szczególnie zdumiewającym szczegółem w tej sprawie był fakt, że redaktor naczelny „Diła” Wasyl Mudryj, późniejszy poseł i wicemarszałek Sejmu, znajdował się właśnie w więzieniu i cykl w „Dile” ukazał się

w czasie jego nieobecności. Po wyjściu z więzienia Mudryj ogłosił oświadczenie, że cykl był wyrazem osobistych poglądów autora i nie jest dla redakcji wiążący. Dalszy ciąg wypadków wykazał jednak, że rację miał Kedryn, a nie Mudryj, ponieważ UNDO weszło w porozumienie z sanacją, a Mudryj został nawet wicemarszałkiem sejmu. Wówczas jednak nie było to jeszcze wiadome.

Cykl artykułów Kedryna i cały przebieg sprawy przedstawiałem obszernie na łamach „Kuriera Lwowskiego”. Po ukazaniu się oświadczenia Mudryja napisałem: „Dla polityki polskiej i dla polskiej opinii publicznej to z całego incydentu jest najważniejsze, że zwrot w »Dile« był robiony pod flagą federacyjną, pod znakiem Kijowa. I dlatego cieszymy się, że się nie udał. Bo powiadamy to wyraźnie: wolimy już mieć trudności z separatystami ukraińskimi wewnątrz kraju niż pochód z nimi na Kijów. Pierwsze Polska wytrzyma, drugie to śmiertelny hazard”. W wiele lat później, wśród innych okoliczności, opowiadano mi w polskich przedwojennych kołach politycznych na emigracji, że Kedryn był zaufanym, a nawet finansowanym narzędziem rządu sanacyjnego, który zainspirował cykl w „Dile”, aby przy jego pomocy rozładować napiętą sytuację z Ukraińcami. Informacja ta znalazła później potwierdzenie; Kedryn pozostawał rzeczywiście na usługach polskiej dwójki.

Polityka sanacji w stosunku do Ukraińców posługiwała się w tym czasie metodami policyjno-prowokatorskimi. W województwie lwowskim na stanowisku naczelnika wydziału bezpieczeństwa pojawił się niejaki Kazimierz Iwachow, postać co najmniej tajemnicza, która podobno odgrywała wtedy szczególną rolę w sprawach tajnej organizacji terrorystów ukraińskich. Iwachow zniknął jednak po jakimś czasie, a jego następcą został chyba radca Tylko, o którym opowiadano zabawną anegdotę. Kiedy mianowicie Tylko pewnego razu pełnił w województwie dyżur niedzielny i z Warszawy zgłosił się telefonicznie dyżurujący urzędnik ministerstwa spraw wewnętrznych w jakiejś pilnej sprawie, Tylko przedstawił się mówiąc: „tutaj radca Tylko”. Urzędnik sądząc, że jego rozmówca usprawiedliwia się stosunkowo niskim stopniem służbowym, zaczął nalegać, by podał mu swoje właściwe nazwisko, a nie tylko stopień służbowy. Nieporozumienie trwało kilka dłuższych minut, zanim wyjaśniło się, że urzędnik lwowski nie jest „tylko radcą”, ale że rzeczywiście nazywa się radca Tylko.

Mówiono poufnie w kołach dziennikarskich, że udało się Iwachowowi w szeregi tajnej ukraińskiej organizacji terrorystycznej wprowadzić agentów policji, przy pomocy których podejmowano daleko idące i ryzykowne posunięcia. Jednym z nich było zamordowanie Tadeusza Hołówki, czołowego przedstawiciela kierunku usiłującego doprowadzić do porozumienia z Ukraińcami. Mordu wśród tajemniczych okoliczności dokonano

w Truskawcu i jego zagadka nigdy nie została dokładnie wyjaśniona. Pozostały natomiast ślady, że mordu dokonał ukraiński bojowiec pozostający na usługach policji.

W tym czasie nastąpiło kilka innych gwałtownych wystąpień nacjonalistycznych terrorystów ukraińskich. Po serii zamachów w poprzednich latach, wśród których najgłośniejszym był śmiały napad na pocztę we Lwowie przy ul. Gołębiej i zamordowanie dwu Ukraińców współdziałających z Polakami: Twerdochliba i dyrektora gimnazjum ukraińskiego w Przemyślu Matwijasa, ojca wspomnianego już mego kolegi ze szkoły powszechnej, nastąpiły w ciągu kilku letnich tygodni 1931 r. dalsze skuteczne zamachy, m.in. na ambulans pocztowy pod Przemyślem, na pocztę w Truskawcu i na ambulans pocztowy pod Kołomyją na drodze do Peczeniżyna. Rząd wprowadził sądy doraźne niespodziewanie dla całego kraju, chociaż zamachy odbywały się tylko w niedużej jego części. Gubiliśmy się w labiryncie tych zawikłanych wydarzeń i znajdowało to wyraz w moich artykułach. Polityka obozu sanacyjnego wobec Ukraińców pozostała w tych latach nierozszyfrowaną kartą. Nie ulega wątpliwości, że była to polityka karkołomna, pozbawiona określonej politycznej koncepcji i realizowana w cieniu gabinetów wydziałów bezpieczeństwa poszczególnych województw i ministerstwa spraw wewnętrznych. Tragiczne następstwa tego braku odpowiedzialności ujawniły się we wrześniu 1939 r.

Tymczasem jednak nadszedł rok 1932. W redakcji sprawy biegły na razie bez większych wstrząsów. Autor kilku uznanych i popularnych powieści Józef Bieniasz zaczął publikować u nas nowele początkowo pod pseudonimem Bezet. Aleksander Bocheński, związany z grupą „Buntu Młodych”, ogłosił na łamach „Kuriera” obszerny artykuł pt. *Inteligencja a światopogląd kapitalistyczny w BBWR* i zamieszczał później szereg innych artykułów. Ta próba nawiązania przez Bocheńskiego kontaktu między nami a „Buntem Młodych” nie dała żadnych rezultatów, chociaż niektórzy publicyści z tego pisma interesowali się dość żywo naszym zespołem i pismem. Publicystą „Kuriera” przez jakiś czas był nawet były wojewoda Piotr Dunin-Borkowski, jak już wspominałem, pokłócony z Mejbaumem, a nawet z sanacją. Publikował u nas artykuły Stanisław Wasylewski. Ogłaszała również korespondencje z Los Angeles Kazimiera Muszałówna. W dziale „W gościnie u muz” drukowano wiersze Jalu Kurka, Juliana Przybosia, stale pisywał Teodor Parnicki. Zamieszczał swoje pierwsze nowele Andrzej Kruczkowski. W tym czasie w żywym kontakcie z naszą redakcją pozostawał Antoni Gronowicz, bardzo młody utalentowany poeta i pisarz uchodzący za skrajnie radykalnego. Syn chłopski, w tym radykalizmie bardzo zawzięty, wydał tomik wierszy, który cenzura w większości skonfiskowała i tomik ukazał się z licznymi, pustymi-

mi fragmentami. W dowód osobistej sympatii autor wręczył mi jeden egzemplarz tak zniekształconych swoich utworów z dedykacją, z której zapamiętałem „chłopskie pozdrowienie”, jakie mi wtedy ofiarował. W jakiś czas później, po otrzymaniu stypendium, autor tomiku wyjechał do Stanów Zjednoczonych i tam pozostał na stałe jako autor piszący już po angielsku, z wyrobionym nazwiskiem¹.

Z okazji nagrody miasta Krakowa, przyznanej Michałowi Rusinkowi, pisaliśmy o laureacie: „Od pisarza o tak potężnych możliwościach pisarskich, jak p. Michał Rusinek, oczekiwać należy, że minąwszy epizod młodości, sięgnie po laury wysokie i najzaszczytniejsze, po laury, jakie zdobywa autor, stając się pisarzem swego pokolenia”.

W lipcu wydano w naszym dodatku literackim „rosyjską kolumnę” ze wstępnym artykułem Parnickiego *Dlaczego przeciw awangardzie sowieckiej?*, a Tadeusz Hollender wydrukował wtedy u nas tłumaczenie wierszy Aleksandra Błoka, Wiaczesława Iwanowicza Iwanowa i Anny Achmatowej. Ukazał się również artykuł *Symbolizm i akmeizm — szczyty poezji rosyjskiej*. W sierpniu Hollender drukował przekład wiersza Mikołaja Stiepanowicza Gumilowa *Kapitanowie*. Włodzimierz Lewik ogłosił cykl artykułów o roli i znaczeniu rymu w poezji. Stanisław Rogowski drukował w tym czasie wiersz *Ostatnie szyderstwo Piotra Niezłomnego*, a początkujący i średniej miary poeta Władysław Turzański przedstawiał pierwsze próby swojej poezji. Pisywała też młoda, utalentowana literatka Maria Grzędzielska. W dziale „W gościnie u muz” opublikowano nie znany dotąd pamiętnik Zofii Szymanowskiej, przyrodniej siostry Celiny, żony Adama Mickiewicza, potem opiekunki dzieci poety po śmierci jego i żony, wreszcie żony Teofila Lenartowicza. Pamiętnik Szymanowskiej opracował dla nas Henryk Biegeleisen. W sierpniu wydaliśmy bardzo

¹ W nieco późniejszych latach A. Gronowicz należał do współinicjatorów i współorganizatorów lwowskiego Zjazdu Pracowników Kultury pozostającego pod wpływem i inspiracją komunistów. Gronowicz w zorganizowaniu i zwołaniu tego zjazdu odegrał znaczną rolę, po czym po uzyskaniu stypendium z funduszu kultury Michalskiego wyjechał do USA. Spotkałem go po raz drugi dopiero po drugiej wojnie światowej; podjął on wtedy starania o nawiązanie kontaktów z polskimi sferami literacko-wydawniczo-teatralnymi. Jego sztuki były grane na nowojorskim Broadwayu, a książki uzyskiwały dobre recenzje w prasie amerykańskiej. W Polsce, pomimo jego radykalnej przeszłości, dobrego pochodzenia klasowego i wysokiej pozycji w świecie literackim w Stanach Zjednoczonych, nawiązanie kontaktów z kołami literackimi szło mu raczej opornie. Było to rezultatem jego wyobcowania z życia polskiego, pisania tylko po angielsku i długiej nieobecności w kraju rodzinnym. Było dość niezwykłą rzeczą, że powodując się naszą starą znajomością ze Lwowa i miłymi wtedy, wzajemnymi stosunkami towarzysko-koleżeńskimi, w ramach moich skromnych możliwości torowałem w 1969 r. memu lwowskiemu radykałowi drogę w Warszawie w kołach młodych marksistów, którzy Gronowicza nie znali ani o nim przedtem nie słyszeli.

starannie opracowany i wartościowy numer poświęcony Janowi Kaspro-
wiczowi. Artykuły w nim umieścili: Zygmunt Wasilewski, Stanisław
Grabski, Henryk Zbierzchowski, Tadeusz Zaderecki, Tadeusz Grabowski,
Medard Kozłowski, Władysław Pańczak. Oprócz cytatów z utworów Ka-
sprowicza w numerze zamieszczono szereg ciekawych reprodukcji z nie-
znanych szkiców Kasprowicza. Karykaturzystą pisma był uzdolniony,
młody wtedy Stanisław Teogel.

Zygmunt Wasilewski ogłosił ciekawy cykl artykułów o czasach lwow-
skich Dmowskiego i Popławskiego, zawierający cenną dokumentację tego
okresu Narodowej Demokracji, a zarazem historii „Słowa Polskiego”.
Miało to być przypomnienie początków tego pisma, aby piórem pierw-
szego redaktora tego dziennika jeszcze raz przygwoździć bezecny postę-
pek „Zespołu Stu”. Ale w rzeczywistości cykl Wasilewskiego stał się
nekrologiem dla „Słowa Polskiego”, które niebawem upadło. Doszczętnie
skompromitowany Waclaw Mejbaum, po doprowadzeniu pisma do ruiny,
ustąpił w końcu ze stanowiska redaktora naczelnego „Słowa Polskiego”
w październiku 1932 r., a redakcję objął z ramienia rządu Władysław
Baranowski, dziennikarz najstarszego pokolenia, ongiś redaktor „Gazety
Lwowskiej”, który dzieło Mejbauma doprowadził do końca. „Zespół Stu”
zakończył w ten sposób niechlubną swoją działalność. Warto dodać, że
już w 1929 r. wystąpił z „Zespołu Stu” prof. Włodzimierz Koskowski
z kilkunastoma innymi członkami tej grupy, dając w ten sposób wyraz
dezaprobowaniu stanowiska „Zespołu”, przede wszystkim Mejbauma i Mę-
karskiego.

Pisywał w „Kurierze” znany aktor i autor kilku sztuk scenicznych
Roman Niewiarowicz, syn znanej, głośnej primadonny operetki lwow-
skiej z czasów mego dzieciństwa Heleny Miłowskiej. Recenzje teatralne
publikował Mieczysław Piszczkowski na zmianę z Kazimierzem Rych-
łowskim, a później Henrykiem Łubieńskim. Stanisław Grabski ograni-
czył chwilowo swoją publicystykę, ale w maju podjął nowy cykl wypo-
wiedzi o samorządzie, który w tym czasie został szczególnie zagrożony
ze strony sanacji.

Od marca zaczęliśmy wydawać dodatek tygodniowy pt. „Kurier Lu-
dowy” przeznaczony dla wsi. Stale ukazywał się również dodatek „Spraw-
y Akademickie” stanowiący organ Młodzieży Wszechpolskiej. Druko-
waliśmy w odcinku wspomnienia autora rosyjskiego ukrywającego się
pod pseudonimem „Dar Boży”. Tendencja wskazywała na pochodzenie
autora z białej emigracji.

W kwietniu zaczął się głośny poszlakowy proces Małgorzaty Gorgo-
nowej, oskarżonej o zamordowanie Elżbiety Zarembianki, córki inż. Za-
remby w Brzechowicach. Gorgonowej bronił głośny i znakomity adwo-
kat lwowski Axer. Oskarżał Laniewski. Proces, który w różnych instan-

cjach trwał przez dwa czy trzy lata, stał się w tym okresie jednym z najbardziej emocjonujących opinie publiczną procesów kryminalnych, ale równocześnie posłużył niektórym kołom postępowym do kampanii przeciw pomyłkom sprawiedliwości w sądach. Toczyła się namiętna w tej sprawie dyskusja na łamach całej prasy polskiej, w której uczestniczyło wielu wybitnych publicystów.

Osobiście wpadłem na tym tle w niespodziewany zatarg ze Stahlem. Należałem do zwolenników poglądu, że Gorgonowa nie dokonała zbrodni i byłem za jej uwolnieniem, a jej proces oraz skazujące wyroki uważałem za pomyłkę sądową, Stahl natomiast należał do zaciętych przeciwników Gorgonowej. W jakiejś rozmowie z moim przyjacielem wyraziłem się o jego opinii w sposób obraźliwy, a w każdym razie gwałtowny. Stahl, który z namiętną zapalczywością w obrońcach Gorgonowej węszył rzeczników zgnilizny moralnej i zgoła antypaństwowej dywersji, przysłał mi sekundantów. Sprawa była raczej groteskowa i skończyła się ugodowo. Pozostaliśmy przy swoich sądach o sprawie Gorgonowej, ale wyłączyliśmy ją z naszych dyskusji.

Były jednak inne, ważniejsze konflikty. W maju teatr lwowski wystawił sztukę Sergiusza Tretiakowa *Krzykcie, Chiny*, reżyserowaną przez Schillera, który został dla tej sztuki jednorazowo zaproszony przez dyrektora teatru Wilama Horzycę. Ogłosiłem artykuł domagający się natychmiastowego zdjęcia tej sztuki z afisza ze względu na jej tendencję. Stanowisko to poparły również inne od nas niezależne czynniki i sztukę wycofano z repertuaru.

Politycznie rok 1932 toczył się pozornie wśród spokojniejszej atmosfery, chociaż nad horyzontem Europy i Polski zaczęły gromadzić się pierwsze, groźne chmury zapowiadające nie przewidywaną jeszcze w tym czasie burzę i katastrofę. Hitler odniósł w Niemczech pierwsze sukcesy, które powiodły go wkrótce do władzy. Odezwały się pierwsze głosy ostrzegające przed narastającym niebezpieczeństwem. Były generalny konsul w Berlinie, później endecki poseł sejmowy Stanisław Zieliński w Tarnopolu podczas odczytu o Hitlerze mówił w lipcu 1932 r.: „W obliczu zbierającej się od zachodu chmury rośnie spokojna i twarda decyzja polska: ani piędzi ziemi. Czy polityka polska praktykowana w sprawie niemieckiej po maju 1926 r. przyczyniła się do tego, aby skłonić rządy niemieckie do zastosowania takiej polityki wobec sąsiada, który niezłomie stoi przy swoim prawie i nie pozwoli na żadne uchybienia? Odpowiedź wyczerpującą i jakże wymowną, zawierającą dzieje naszych rokowań handlowych, dają dzieje naszego udziału w konferencji haskiej, krótkie, lecz wymowne dzieje okresu ratyfikacji przez większość rządową. Odpowiadają wymowne liczby utrwalonych na ziemiach polskich kolonistów, ów »złoty most« łączący Prusy Wschodnie z Rzeszą, odpo-

wiadają owe zabiegi o pozyskanie względów niemieckich, zabiegi, które nawet obojętnemu widzowi z angielskiego »The Economist« wydają się prawie upokarzające”.

Polska w dniu 25 lipca 1932 r. zawarła pakt o nieagresji ze Związkiem Radzieckim, ratyfikowany przez Polskę 27 listopada tegoż roku, ale rozumiano go w Warszawie zaledwie jako formalną konieczność wynikającą z polityki opartej na teorii „dwu wrogów”, między którymi należało zachować równowagę w charakterze trzeciej siły mocarstwowej, zdolnej oprzeć się wszystkim zewnętrznym naporom i zagrożeniom.

Tej postawie odpowiadała polityka rządu i opozycji rozwijana wewnątrz kraju. Rząd realizował system silnej ręki, przysposabiając się do sfinalizowania nowego porządku przy pomocy nowej konstytucji. Opozycja stawiała opór, nie szczędząc żadnych metod, aby mobilizować społeczeństwo przeciw sanacji. W endecji coraz gwałtowniej brali górę ekstremiści. Nakładem „Myśli Narodowej” wydano książkę pt. *Zmierzchu Izraela*, w której autor, ukryty pod pseudonimem Henryk Rolicki (Tadeusz Gluziński ze Lwowa), twierdził, że wszystkiemu od wieków są winni Żydzi i że oni stanowią główny trzon wszelkich aspektów polskiej polityki narodowej. Pamiętam zebranie, na którym referowano treść tej książki. Wyszedłem znudzony oświadczając, że nie mogę się zgodzić, aby historia Polski od zarania była dziejami wyłącznie intryg żydowskich i nieporadności wszystkich bez wyjątku polskich królów, mężów stanu i polityków stanowiących zaledwie nędzne marionetki obcych planów. Tego rodzaju pogląd był dla mnie zbyt prymitywny, a przede wszystkim sprzeczny ze światopoglądem nacjonalistycznym, ponieważ przedstawiał naród polski jako organizm niezdolny do jakiegokolwiek samodzielności i pozbawiony sensu własnego bytu. Jeżeli tak się działo przez całe stulecia — twierdziłem — trudno byłoby z tego rodzaju teorii wykrzesać jakąkolwiek wiarę w przyszłość Polski. Stąd nie godziłem się nigdy z antysemityzmem jako rzekomo centralnym zagadnieniem bytu polskiego[...]

W tym okresie ogłosiłem w „Kurierze” cykl wywiadów prasowych na temat zamierzonych przez rząd projektów w sprawie tzw. ugody wobec Ukraińców. Przeprowadziłem wtedy rozmowy ze Stanisławem Głabińskim, Duninem-Borkowskim, posłem socjalistycznym Hausnerem, komisarzem Lwowa Brzozowskim, Stanisławem Grabskim i prezesem UNDO Dymitrem Łewyćkim. Niezwykłym szczegółem w tej sprawie było bezmyślne stanowisko cenzury, która we Lwowie nie pozwalała ogłosić tekstu wspomnianego projektu rządowego, bez przeszkód publikowanego w „Gazecie Warszawskiej” i w „Kurierze Poznańskim” dostępnych na rynku lwowskim [...]

Tymczasem w styczniu 1933 r. Hindenburg powołał Hitlera na sta-

nowisko kanclerza Rzeszy. Papen został mianowany wicekanclerzem. Reakcja publicystyki endeckiej na to wydarzenie o najcięższych następstwach dla losów Polski była zdumiewająca.

Jeden z naczelnych publicystów ówczesnych „Kuriera Lwowskiego” Władysław Tarnawski pisał w kilka dni później: „Hitler został ugłaskany. Junkrzy zdołali go omotać i uczynić swoim współpracownikiem, w gruncie rzeczy narzędziem. Zamiast tedy przerażać się tym, że żywiowi pravicowemu w Niemczech stworzyły wspólny front, powiedzmy sobie otwarcie, że im jaśniejsza sytuacja, tym lepiej dla nas, bo tym bliższe otrzeźwienie w szerokim świecie, który dziś zasugestionowano propagandą. Z tego powodu możemy wołać: Heil Hitler i nawet ewentualnie Heil Hohenzollern”.

Nie lepszy był Stanisław Stroński: „Nie tylko na dziś — pisał ten zazwyczaj niezły znawca zagadnień międzynarodowych a niemieckich w szczególności — ale i na jutro równowagę obok Hitlera zapewnia tylko Hindenburg. Ale feldmarszałek prezydent Hindenburg ma 85 lat. Kto go może zastąpić i kto może być przewidywany przez twórców 30 stycznia 1933 jako następcą dla dalszego zapewnienia takiej równowagi? Tylko Hohenzollern. Czy tak się stanie, pokaże przyszłość, nie- zbyt odległa. Ale że tak to jest pomyślane, to pewne już dzisiaj”.

Tadeusz Bielecki jeszcze w czerwcu 1933 r. na wiecu w Warszawie podkreślił „konieczność samodzielnej oceny sytuacji w Niemczech i nie- poddawania się sugestiom szerzonym w interesie międzynarodówki ży- dowskiej”. A jeszcze w rok później, w lipcu 1934 r., Jan Matyasik, nowy już wówczas redaktor naczelny „Kuriera Lwowskiego”, usypiał opinię publiczną na marginesie „krwawej łaźni”, jaką Hitler zgotował Roehmo- wi i towarzyszom: „Pamięć afektywna narodów — pisał Matyasik — jest słaba, naród niemiecki zapomni wkrótce o krwawej łaźni urządzonej ludziom, którzy zresztą nigdy nie byli zbyt popularni. Sytuacja zaś go- spodarcza, która mogłaby pogłębić przeciwieństwa w łonie partii rządzą- cej, zapewne się w ciągu lata nie pogorszy. Prasa europejska, w pierw- szym rządzie żydowska, przepowiada już na jesieni upadek rządów Hi- tlera. Z sadystyczną uciechą przedstawiają żydowscy dziennikarze rze- komy rozkład moralny hitlerowców i już obecnie obiecują sobie taniec ze skalpem tego nowoczesnego Hamana. Znowu przelewa się przez ma- szyny drukarskie fala tatarskich wiadomości o bliskiej katastrofie gospo- darczej Niemiec, o rewolucji Reichswery, o nerwowym rozstroju Hitlera. Żydzi umieją nienawidzić. I gdyby ta nienawiść mogła zabijać”.

Posiadałem w tej sprawie opinię odmienną, czego nie mogę tu po- minąć. Pisałem we wrześniu 1933 r. na łamach tygodnika lwowskiego „Wczoraj, Dziś i Jutro”: „Hitler raz rozpoczętej akcji nie zechce prze- grać. Mogłoby to być wstępem do jego zmięczenia. Sytuacja jest bodaj

najbardziej typowa dla powojennego położenia Europy. Nigdzie nie widać mocnych, niezachwianych podstaw pokoju i równowagi. Z każdego kąta wyziera niebezpieczeństwo starcia. Europa stała się terenem eksperymentów, które uniemożliwiają stabilizację. Polska musi być gotowa na wszelki wypadek. Żadna sytuacja nie może jej zaskoczyć". Pisząc to znajdowałem się już w ciężkim zatargu z partią, między innymi także na tle jej stanowiska wobec kardynalnych problemów Polski.

Drugim faktem wstrząsającym wewnętrzną sytuacją Polski była potężna fala rozruchów chłopskich i robotniczych, która szła w tym czasie przez Polskę. W marcu nastąpiły krwawe demonstracje robotnicze w Łodzi i w Sosnowcu. Zdeterminowani robotnicy w kopalni „Klimontów” rozpoczęli pod ziemią głódówkę nie nadając żadnych sygnałów do oczekującego na powierzchni tłumu rodzin i ludności. Strajki opanowały Zagłębie, Krakowskie i Pabianice. Widownią krwawych zajść stały się fabryki włókiennicze w Pieszczykach i Supraślu w woj. białostockim, gdzie zabito robotnika, a kilkunastu raniono. Tłumy raniły kilkunastu policjantów.

Jesienią zaczęły się masowe procesy chłopskie w Krakowie, Tarnowie i Rzeszowie w związku z zajściami, jakie odbyły się w czerwcu w powiecie bocheńskim w Łapanowie, Trzcianach i Grabii; zabito tam kilku chłopów. Poza tym krwawe starcia z chłopami nastąpiły w Wólce pod Lasem w Rzeszowskim, w Kozodrzy, Nochowej, Łukawcu i Grodzisku. Inne procesy przeciw uczestnikom demonstracji chłopskich rozpoczęły się także w Wadowicach, Łomży, Sanoku i Samborze. Łącznie na ławach oskarżonych zasiadało w tych procesach kilkuset chłopów.

Uczestniczyłem jako dziennikarz w wielkim procesie w Rzeszowie przeciw uczestnikom zajść w Grodzisku. Oskarżonych było 50 chłopów. Bronili m.in. adw. Graliński, znany i wybitny działacz „Piasta”, Liwo, działacz endecki i Czarnek. Chłopi w Grodzisku oblegali posterunek policyjny i padło ich tam pięciu, w tym dwie kobiety, a kilku było rannych. Równocześnie toczył się w Rzeszowie drugi proces przeciw chłopom z Wólki.

Pisałem o tych procesach z sali sądowej: „na czoło wybiło się zagadnienie przerażającej, potwornej nędzy, jaka szaleje na wsi, której towarzyszy głód i rozgoryczenie”.

W tym samym czasie brałem udział w procesie ks. Rachoty, proboszcza w Rakszawie, który stanął przed sądem w Łańcucie. Ksiądz, jak twierdził prokurator, znieważył rząd i państwo podczas kazania w kościele. W czerwcu jedenastu byłych żołnierzy z walk lwowskich w 1919 r. zajęło we Lwowie lokal swojej organizacji i rozpoczęło głódówkę, ponieważ jako bezrobotni nie mogli uzyskać pracy i z głodu ginęli ze swoimi rodzinami. Piotr Kownacki, znany publicysta endecki w Wilnie, pisał

w maju 1929 r. w „Kurierze Poznańskim”: „Klęska głodowa dała się odczuć również mocno w miastach (na Wileńszczyźnie). Wieś nic dzisiaj prawie nie kupuje, a na sprzedaż też ma bardzo mało. Toteż zastój w handlu i przemyśle mamy wprost wyjątkowy. Zapasy poczynione zimą w 50—80 proc. nie zostały wykupione”. Atmosfera stawała się duszna i tragiczna. Nic — mimo to — nie przemawiało do wyobraźni ówczesnych czynników politycznych. Endecki „Kurier Poznański” w 1929 r., notując manifestację pierwszomajową w Poznaniu, pisał dosłownie: „Wystarczałoby trzymanie demonstrantów z daleka od miasta i uniemożliwienie im w ten sposób oddziaływania na masy po ulicach. Poza miastem zaś demonstracje takie na pewno pozostaną bez większego wrażenia”. Dziennik zanotował przy tej okazji, że w pochodzie majowym w śródmieściu brało udział 150 uczestników z PPS i 50 z PPS Lewicy i „dużo tłumu ciekawych”. Z tej samej notatki okazuje się jednak, że „komuniści odbili patrolowi policyjnemu przytrzymanych osobników w pobliżu gazowni”, z czego wolno było wnioskować, że tłumy były wielokrotnie większe, skoro potrafiły odebrać licznie zmobilizowanym oddziałom policyjnym aresztowanych uczestników pochodu. Propozycja skądinąd odpowiedzialnego dziennika, aby trudne sytuacje rozwiązywać za pomocą mechanicznego przenoszenia demonstracji poza miasto, charakteryzowało najlepiej w dziedzinie najcięższych zagadnień społecznych, politycznych i gospodarczych ówczesną ignorancję opozycyjnej prawicy i dużą nieodpowiedzialność jej stanowiska.

Hitler w listopadzie 1933 r. umocnił się definitywnie. W wyniku jeszcze jednych wyborów na 42 miliony głosujących uzyskał tym razem 39 milionów głosów. Wewnętrzna walka w Polsce, prowadzona przez wszystkie partie opozycyjne, stwarzała na tym tle ponury i tragiczny obraz coraz głębszego rozstroju. Partia endecka miała w tym własny udział.

Nie spoczywali również terroryści ukraińscy. W 1933 r. podjęli tym razem nie udany zamach na kuratora szkolnego Gadomskiego. W tym samym czasie Mikołaj Łemyk, osiemnastoletni student uniwersytetu, zastrzelił w siedzibie konsulatu radzieckiego we Lwowie urzędnika placówki Aleksieja Mailowa. Łemyk skazany został później na dożywotnie więzienie. W maju Ukraińcy zorganizowali ogromną manifestację religijną, która przy udziale wielu dziesiątek tysięcy ludzi przeszła przez Lwów. Było to pierwsze po wojnie na tak wielką skalę wystąpienie publiczne ukraińskie we Lwowie, urządzone zresztą za zgodą władz. W listopadzie ogłosiłem artykuł polemiczny z „Dilem”, w którym — pisząc o stosunku do OUN — wypowiedziałem się przeciw środkom policyjnym, proponowałem natomiast wychowywanie młodzieży polskiej i ukraińskiej we wspólnych szkołach bez istniejącego podziału na szkoły narodowościowe.

W październiku tego roku marszałek Piłsudski urządził malowniczą rewiew kawaleryjską na Błoniach krakowskich, która była wprawdzie bajkowym widowiskiem, ale na tle tego, co wokół Polski i w samej Polsce zaczęło się wówczas dziać, stanowiło niepojęte wyzwanie wobec realiów podejmowane przy pomocy teatralnych, monumentalnych, lecz złudnych gestów. Były w tym widowisku jakby ostatnie echa romantyzmu, w formie zapewne porywające, lecz politycznie i wychowawczo zabójcze. W sześć lat później czołgi i samoloty hitlerowskie wykazały brutalnie złudę tragicznego przywiązania do starych form i starej treści minionego świata kawaleryjskiej krzepy i ułańskich proporczyków. Mówiono w niektórych kołach, aby usprawiedliwić tę niespodziewaną manifestację kawaleryjską, że Piłsudski, świadomy nadchodzących zmian, zarządził ją na pożegnanie ukochanej przez siebie broni. Nikt jednak nie docieknął rzeczywistej intencji starego marszałka [...]

Postanowiłem dowiedzieć się, ku czemu właściwie zdążamy. Nie miałem dalszego przekonania do akcji, której jedynym rezultatem było przykładanie ręki do pogłębienia anarchii w kraju wspólnie z Ukraińcami i lewicą, kiedy na zachód od Polski wyraźnie formowała się hydra hitlerowska. Nie posiadałem już od dawna zaufania do partii, która tylokrotnie zawiodła i nie reprezentowała żadnego planu, uwikłana w bezduszny program, nie wywołujący w masach żadnego praktycznie oddźwięku.

Byłem zdecydowany działać samodzielnie, niezależnie od opinii i stanowiska mojego środowiska. Postanowiłem nie podejmować żadnej inicjatywy zdążającej do dokonania wyrwy w szeregach obozu przy pomocy środków organizacyjnych. Byłem przekonany o słuszności mojego poglądu, i to stanowiło jedyne kryterium mojej postawy. Praktyczne następstwa swoich zamierzeń pozostawiłem skuteczności argumentów, które zdecydowałem się wyłożyć publicznie.

Rozegrało się to jednak dopiero pół roku później, chociaż zacząłem działać wcześniej, bo już jesienią 1933 r.

Tymczasem zaś dalszy ciąg przebiegał pozornie bez widocznych na zewnątrz objawów zbliżającego się rozłamu [...]

Kryzys nadszedł w jesieni 1933 r., kiedy w końcu Bogdanowiczowi udało się nakłonić komórkę konspiracyjną do udzielenia mi urlopu w tajnej organizacji. Do zakomunikowania mi tej decyzji nakłoniono Bieleckiego. Nie pełniłem już wtedy żadnej funkcji w Ruchu Młodych rozwiązanym na wiosnę, a w partii byłem zwykłym szeregowcem. Rozmowa z Bieleckim odbyła się w cztery oczy w mieszkaniu Jana Rozwadowskiego przy pl. Celnym, kiedy to Bielecki z największą zresztą niechęcią komunikował mi decyzję miejscowych władz konspiracyjnych, udzielających bezterminowego urlopu, przy czym zapewniał, prawdopodobnie szczerze, że decyzja ta po jakimś czasie będzie anulowana. Przyjąłem

to orzeczenie kapturowej instancji bez najmniejszego sprzeciwu, uważając, że ułatwia mi ona samodzielne decyzje, dając wolną rękę w dalszej inicjatywie [...]

Sprawy codzienne układały się jak na owe czasy zwyczajnym torem. W lutym 1933 r. sprawa brzeska znalazła się w sądzie apelacyjnym, który zatwierdził wyroki. W marcu odbyły się dalsze demonstracje młodzieży we Lwowie, protestującej przeciw ograniczeniu autonomii uniwersyteckiej. Przybrały one tak znaczne rozmiary, że na ulicach pojawiły się znowu pieszki i konne oddziały policji. Proklamowano strajk studentów we wszystkich uczelniach. Rektor uniwersytetu warszawskiego prof. Ujejski złożył dymisję, protestując w ten sposób przeciw ustawie rządowej godzącej w autonomię uniwersytetów, za jego przykładem poszedł rektor uniwersytetu krakowskiego prof. Kutrzeba i rektor lwowski ks. Gerstman. W uniwersytecie lwowskim ustawiono barykady z ławek, na Politechnice wywieszono transparenty, a w Domu Techników czarną choągiew. Na uniwersytecie warszawskim doszło do bójek z członkami Legionu Młodych, sanacyjnej organizacji młodzieży akademickiej. Strajk trwał przez kilkanaście dni, po czym go odwołano, ale we Lwowie młodzież strajk przedłużyła. Prof. Stefko, zwolennik reformy ustroju uniwersytetu, został obrzucony jajami. W tym czasie odbyła się seria procesów przeciw studentom za udział w demonstracjach ulicznych w listopadzie ub. roku. W maju nastąpiły aresztowania działaczy młodzieżowych w Poznaniu, m.in. Jana Wyganowskiego, redaktora tygodnika „Czuwamy”, Jana Szyszczyńskiego i Zbigniewa Sadkowskiego. Opętańczy taniec trwał niemal bez przerwy.

„Kurier Lwowski” opuścił wyraźnie skrzydła. Nad wydawnictwem zaczęły gromadzić się coraz poważniejsze trudności natury finansowej. Pomimo popularności dziennik nie zdołał wyjść na szeroki rynek i opierał się ciągle na bazie czytelnictwa głównie partyjnego. Jesienią 1933 r. podjęto inicjatywę wydawania dodatkowego pisma popularnego, które miało utorować drogę do szerokich mas. Zachęcającym przykładem w tej dziedzinie było powodzenie dwu ukazujących się we Lwowie brukowców — „Lwowskiego Expressu Wieczornego” i „Gońca Wieczornego” — którego wydawcą był Zygmunt Halber, ruchliwy i pomysłowy businessman; po raz pierwszy we Lwowie wydał on gazetę po 5 groszy. Popołudniowe wydanie „Kuriera”, wzorowane na typie pism sensacyjnych, nosiło — wzorem pisma paryskiego — tytuł „Jestem wszędzie” („J’sui partous”), ale próba nie dała pomyślnego rezultatu i brukowiec rychło zniknął z rynku. Konkurencja przyłożyła do tego rękę.

W redakcji nie zaszły większe zmiany, chociaż atmosfera w niej stawała się coraz cięższa. „Dodatek Naukowo-Literacki” przybrał nową formę. Lewik ogłosił swoją *Opowieść o królaJanowym zegarze w kościele*

rudeckim, pisał sporo Zaderecki i prof. Zubrzycki. Ukazały się także artykuły Leona Chwistka.

Mój udział w dzienniku ograniczył się tylko do artykułów oderwanych od praktycznej polityki. W numerze świątecznym 1933 r. pisałem o potrzebie opracowania historii prasy polskiej, kiedy indziej o starych i nowych nazwach ulic lwowskich oraz o lwowskim okresie Biblioteki Narodowej. W numerze poświęconym Targom Wschodnim pisałem wtedy, mając na myśli sytuację w partii: „Czas swoje zrobił. Powinien znaleźć się jakiś rozumniejszy, a niezależny przyjaciel organizatorów powodzi ostatnich zjazdów, manifestacji, deklaracji i szeregu innych błazeństw i powiedzieć im na rozum, że wszystko to na nic, gdyż od dołu nie będzie się nikt poruszał. Że po prostu nastąpiła stabilizacja kryzysu zaufania. Ludzie w to, co jest teraz, nie wierzą, żadna nadludzka siła nie wykrzesze z nich ochoty i zapału, do niczego nie porwie. Na zewnątrz mogą być oklaski i tłumy, ale nie ma w nich krzty prawdy. Treść zastępuje się na wszystkich polach błagą, blichтром i frazesem. Pustkę maskuje się manifestacjami, w których wszechwładnie rozpostarła się w całym społeczeństwie apatia i zniechęcenie. Ludzie przychodzą, wywieszają choraągwie, patrzą, ale nie wierzą, aby to wszystko miało jakiś sens, aby o krok nas posunęło w tym kompletnym zastoju i marazmie, aby rozwikłało beznadziejną sytuację. Polska doczeka się jednak chwili, w której z obecnego przejściowego okresu przejdzie do epoki swojego odrodzenia i znajdzie się w sferze nowego świata, który stoi już u jej boku. Sprawa ma tło szerokie, dotyka przesilenia ogólnoswiatowego, jest częścią zagadnienia kryzysu cywilizacji, końca starego i początku nowego świata”.

Nie byłem odosobniony w tym sceptycyzmie, oczekującym na inne rozwiązanie kryzysu ówczesnych lat. Z innych co prawda pozycji odrzucał rzeczywistość ówczesną także Tadeusz Hollender, który w tym samym dokładnie czasie pisał na łamach tygodnika „Małopolanin — Wczoraj, Dziś, Jutro”: „Razem nie stanowimy ani lewicy, ani prawicy, nie reprezentujemy też złotego środka społecznie czy literacko. Razem nie jesteśmy ani sanacją, ani w ogóle żadną kracją, masonerią ani endecją. Chcemy być po prostu ludźmi, i to nam wystarcza. Osobno i dla siebie samych prawie każdy z nas ma odmienne przekonania, inny punkt widzenia. Dlaczego? Bo właśnie chcemy być lustrem życia. Chcemy przekonać wszystkich, że różnica w poglądach nie przeszkodzi nam w dyskusji, nawet w kwestiach najbardziej zasadniczych. Próbuujemy uczyć kultury praktycznie siebie samych i innych. Taki jest mniej więcej nasz bezprogramowy program. Wierzmy jeszcze w człowieka. Zbyt młodzi jesteśmy, aby sądzić, że jego twórcza rola już się skończyła. Wierzmy

w człowieka i w naszą wspólną, ludzką sprawę, nie znającą w młodym porywie miłości granic ani różnic wyznaniowych”.

W obu tych wypowiedziach wyrażało się poszukiwanie nowej treści życia, zdradzało się zagubienie w dotychczasowych labiryntach bez względu na to, kto w jakich kapliczkach wtedy się modlił. Kryzys sięgał dna i w młodych szeregach budziło się niespokojne, nieskoordynowane odgadywanie nowego.

Ostatnim akordem w mojej dziennikarskiej działalności na łamach „Kuriera” stał się proces w Sanoku. Sprawa miała ogromny rozgłos ze względu na tło, niecodzienne nawet w ówczesnych latach. W maju 1933 r., w niedużym miasteczku Brzozowie, po zebraniu partyjnym Stronnictwa Narodowego, w którym uczestniczył poseł Stanisław Rymar, zastrzelony został skrytobójczo sekretarz lokalny partii Jan Chudzik, wówczas praktykant w kancelarii notariusza Gwoźdźcia, syn chłopski. Śledztwo wykazało, że Chudzik zabity został śrutem i że mordu dokonał pomocnik buchalteryjny, niejaki Roman Jayko. Pogrzeb Chudzika zamienił się w wielką manifestację żałobną okolicznej ludności. Jako jeden z mówców nad grobem zamordowanego wystąpiłem wtedy w roli przedstawiciela władz dzielnicowych partii i całej prasy partyjnej. Urazono mnie tą rolą jako mało efektowną na dalekiej prowincji na pogrzebie, na który ze Lwowa nikt z powołanych do tego przywódców nie miał ochoty się fatygować. Sprawa początkowo nie przedstawiała sobą nic szczególnego i traktowano ją jako dowód jeszcze jednego brutalnego, a w tym wypadku zbrodniczego gwałtu, dokonanego na działaczu opozycji. Wkrótce potem rzecz przybrała jednak nieoczekiwany obrót. Okazało się mianowicie, że Jayko, pozostający prawdopodobnie na usługach policji, był narzędziem wywiadowcy policyjnego Stefana Stankiewicza, a ten działał z namowy i poduszczenia komisarza powiatowego policji Bolesława Derwińskiego. Należało przypuszczać, że rząd, czując się skompromitowany, a mogąc łatwo zwalić winę na samowolę prowincjonalnego funkcjonariusza policji, wystąpi z całą surowością prawa.

We wrześniu odbył się proces trzech współsprawców zbrodni przed ławą przysięgłych w Sanoku. Jako zastępcy rodziny zamordowanego wystąpili Pieracki, Zieliński i adwokat sanocki Jerzy Pietrzkiwicz, zresztą także działacz partyjny. Bronili adwokat Głuszkiewicz, Spiegel i Fell. Na tym właśnie procesie występowałem z ramienia „Kuriera” i kilku innych pism endeckich jako sprawozdawca prasowy, nadając sprawie ogólnokrajowy rozgłos. Sprawozdania zajmowały całe szpalty przez dwa lub trzy tygodnie. Werdykt przysięgłych uznał winę oskarżonych i sąd skazał Derwińskiego na pięć lat więzienia, Stankiewicza na dwa i pół roku, a Jaykę na dwa lata. W ten sposób właściwy, moralny sprawca mordu, komisarz policji, otrzymał najcięższą karę. Wyrok wywołał duże

wrażenie. Prokurator nie osłaniał winnych i współdziałał w tym wypadku z rzecznikami powództwa cywilnego rekrutującymi się z endecji.

Był to równocześnie mój ostatni bliższy kontakt z Pierackim. Kilka miesięcy potem nastąpiło rozstanie z nim i z partią. Ale przedtem podjąłem jeszcze jedno wystąpienie, które zresztą zaważyło ostatecznie na moich losach.

W maju 1932 r. ukazał się we Lwowie miesięcznik „Małopolanin”. Jego inicjatorem, wydawcą i redaktorem był Mieczysław Szykowski, syn wspomnianego tu już właściciela drukarni, w której drukowaliśmy początkowo „Lwowskiego Kuriera Porannego”. Mieczysław Szykowski jako drukarz nie był ani dziennikarzem, ani publicystą, ale posiadał ambicję wydawania jakiegokolwiek pisma. Przybrało ono charakter periodyku reklamowego i pod względem politycznym czy społecznym nie wyrażało żadnego stanowiska. Widocznie jednak start pisma o tej treści nie okazał się najlepszy, ponieważ rychło, bo już w lutym 1933 r., pismo Szykowskiego objęli trzej młodzi literaci Tadeusz Hollender, Teodor Parnicki i Aleksander Baumgardten z tym, że Szykowski pozostał nadal wydawcą. Pismo uzupełniło swój tytuł i nazywało się obecnie „Małopolanin — Wczoraj, Dziś, Jutro”. Nowy zespół rysował się zupełnie interesująco. Cytowałem już fragmenty z artykułu Hollendra, który w tym piśmie był na pewno czołową i najbardziej dynamiczną postacią i nadawał mu ton.

Ale i ta zmiana nie pomogła. We wrześniu 1933 r. pismo przejęła nowa grupa, a Hollender z Parnickim wycofali się z tej placówki. Przyczyną były oczywiście względy finansowe. Pismo nie zdobyło rynku, a na pokrywanie jego deficytu ani Szykowski, ani tym bardziej Hollender z Parnickim pieniędzy nie posiadali. Nie miała ich co prawda również następna grupa ryzykantów, ale ponieważ wszyscy liczyliśmy wówczas po lat niewiele ponad trzydzieści i nie posiadaliśmy najmniejszego pojęcia o zagadnieniach natury materialnej, natomiast śniły się nam różne światoburcze plany, dla których — w naszym przekonaniu — nie powinno było być w świecie, a tym bardziej we Lwowie żadnych większych przeszkód, przeto objęliśmy pismo. Powiadam, żeśmy pismo objęli, ponieważ należałem do grona „wspólników” podpisujących cyrograf i wpłacających jakąś, zresztą niewielką sumę udziału. Resztę miało zdobywać pismo powszechnie i masowo wydawane. Do spółki, jak pamiętam, wchodzili tego rodzaju „potentaci”, jak Tadeusz Zaderecki, którego sam wygląd zewnętrzny i wynędzniała, pociągła twarz świadczyły, że chudy literat nie zawsze jada obiady i kolacje, dalej Józef Bieniasz, również literat, znany nam wówczas wszystkim jako człowiek pozbawiony chronicznie wszelkiej gotówki; akt spółki podpisali także nie znani mi bliżej W. Karpiński, T. Olszański, W. Bryła oraz ja sam. Przeniesiono druk pisma z drukarni „Pospiesznej” przy ul. Chorążczyzny do drukarni

J. Jaśkowa przy tej samej ulicy. Ta pierwsza ze względu na niezapłacone poprzednie rachunki odmówiła dalszych usług, a nowy drukarz ulegał błogiej nadziei, że wydawnictwo będzie wypłacalne. Fortuna — sądził zapewne — sprzyja śmiałkom.

Po raz drugi zmieniono wtedy tytuł pisma i znikł z niego „Małopola- nin”, pozostało tylko „Wczoraj, Dziś, Jutro”. Tak zrodziła się trybuna, na której moi przyjaciele ze spółki uznali mnie za głównego rzecznika ideowego. Miałem w tej dziedzinie dzierżyć batutę. Redaktorem naczelnym był Tadeusz Zaderecki, na pewno utalentowany, ale dziwnie pechowy pisarz, którego specjalnością była znakomita znajomość *Talmudu*. Zaderecki władał doskonale językiem hebrajskim, był tłumaczem *Talmudu*, cenionym w kołach żydowskich i posiadającym wśród nich znaczne koneksje. Pismo przez niego redagowane zapowiadało się nawet ciekawie i żywo. Mogło z czasem uzyskać większe sukcesy na rynku, gdyby nie to, że wydawcy wszelkie dochody płynące ze sprzedaży lub ogłoszeń zamiast do administracji dwutygodnika odprowadzali do powszechnie znanego lwowskiego „Atlasa”, czyli uroczej, literackiej knajpy w Rynku, gdzie pijało się wino i wódkę na beczkach, a w ogóle piło się wiele i przeważnie na kredyt. Edzio Rentschner, właściciel tego przybytku, uważał się za opiekuna i mecenasa poetów, literatów i w ogóle ludzi piszących; jeżeli któryś z nich nie rozporządzał pieniędzmi potrzebnymi na opłacenie libacji, Edzio miał szlachetny zwyczaj darować swoim ulubieńcom ich długi lub odraczać ich zwrot na terminy, które nie były nigdy bliżej przez niego określone.

Pamiętam, że w nieco późniejszych latach postanowiliśmy podjąć jakieś rozsądne kroki, aby ułatwić pisanie wierszy Stanisławowi Rogowskiemu, poecie z Bożej łaski, bardzo młodemu i już wtedy zdradzającemu iskrę poetycką, borykającemu się stale z problemem codziennego obiadu. Rogowski, jak każdy ówczesny poeta, nic nie zarabiał; jeżeli nawet coś mu wpadło, ciągnął również do „Atlasa” i tam szybko upłynniał drobny zapas gotówki zainkasowanej za wiersze. Poszedłem wówczas do Edzia i ułożyliśmy obaj, że będzie Rogowskiego gościł codziennie obiadem łącznie z alkoholem, pod warunkiem, że będzie pisał wiersze i nie marnował talentu. Tak też się stało. Niejeden zresztą poeta lwowski korzystał z takich lub podobnych ulg w narożnej piwnicy na lwowskim Rynku.

Tonęły tam — jak się rzekło — skromne dochody równie skromnego dwutygodnika lwowskiego, nic więc dziwnego, że jego żywot nie mógł być długi. Skończył się bodaj po kilku numerach, a może nawet szybciej. Drukarnia wniosła bowiem skargę o niezapłacone rachunki, sąd doręczył wezwania do sądu wszystkim członkom spółki, ale ci byli na tyle przezorni, że unikając zasadzki nie przyjmowali wezwań, unikając ich

doręczenia na różne, przemysłne sposoby. Jedynym naiwnym współnikiem, który — nie przywiązując wagi do wręczanych mu pozwów — przyjmował je bez zmrżenia oka, nie stawiając się potem na rozprawy, byłem ja. W następstwie tego sąd cywilny, mając przed sobą tylko moje wezwania i słusznie uznając mnie za jedyne osiągalnego współnika, skazał mnie na zapłacenie wszystkich długów „Wczoraj, Dziś, Jutro”. Ironia losu sprawiła, że ani razu z innymi współnikami nie byłem w „Atlasie”. Chodzili tam głównie Zaderecki, Bieniasz i Ulanowski, który nie będąc wprawdzie współnikiem w wydawnictwie nie wyłączał się ze spółki podczas przyjęć wydawanych przez jego serdecznych przyjaciół z dwutygodnika. Płaciłem te długi nie pomnę przez ile już lat i nie pamiętam nawet, czy je do wybuchu wojny ostatecznie wyrównałem.

Mój udział w piśmie, poza lekkomyślną przynależnością do spółki i wpłaconym do niej jednorazowym udziałem, ograniczył się do jednego artykułu w pierwszym numerze. Ale chociaż był to mój jedyny występ na tej trybunie, okazał się on brzemienny w skutkach.

Generalną linią zespołu skupionego w tym piśmie był protest przeciw wszystkiemu, co obowiązywało. Nie zgadzaliśmy się na nic, nie zawsze wiedząc, czego chcemy. Przede wszystkim jednak protestowaliśmy przeciw rządowi starego pokolenia, które wciągnęło nas w bezsensowne spory i utarczki jeszcze wedle podziałów z okresu pierwszej wojny światowej i wytworzyło sytuację w kraju, której naczelną cechą był coraz większy chaos i wojna wewnętrzna wszystkich przeciw wszystkim. Rząd walczył z opozycją, opozycja z rządem, wśród opozycji poszczególni jej partnerzy prowadzili między sobą coraz bardziej zżarte spory. Postanowiliśmy dać wyraz naszej dezaprobacie na łamach pisma niezależnego, ponieważ wszystkie inne znajdowały się pod kontrolą sprawców i reżyserów powszechnej wzajemnej wojny wewnętrznej. Takie było tło ideowe dwutygodnika, gdyśmy do niego wchodzili po Hollendrze i Parnickim.

Tadeusz Zaderecki napisał w artykule pierwszym numeru: „Jesteśmy pismem narodowym. Zwracamy więc przede wszystkim uwagę na to, co narodowca interesuje, względnie co go szczególnie interesować powinno. Na dwu ścianach Rzeczypospolitej dokonały się i ciągle się dokonują radykalne przemiany [...] A my co o tym wiemy? Prawdę rzekłszy nic albo bardzo mało. Prasa bowiem w tych rzeczach nie uwzględnia zazwyczaj jednego: obiektywizmu i prawdy. To, co dostajemy do rąk, są to celowo i pod pewnym kątem tworzone preparaty. Jakże atoli dalekie od rzeczywistości [...] »Obojętność jest drzemką ducha« — powiedział słusznie Vauveurgues, narody zaś senne dla spraw, co je bezpośrednio dotyczą lub żyjące w maskowanej niewiedzy o nich — same się wykreślają powoli z księgi historii. Strusia polityka, w jakiej by była formie, jest zawsze wysoce szkodliwa. Ten sam obiektywizm i prawda będzie naszym

hasłem i na reszcie pól: bądź to literatura, bądź sztuka, bądź reszta kulturalnego życia, wszystko notować będziemy, wszystkiemu oddamy sprawiedliwość [...] Nie zrywając z tym, co było »wczoraj«, nie zrywając z dodatkimi przejawami naszej polskiej tradycji, chcemy formować smutne »dziś« na służbę świadomą »jutra«. Bo Jutro do nas należy”.

Ale gwoździem numeru stał się mój artykuł *Przyczyny rozdźwięku*. Pisałem w nim, co następuje: „Jedną z naczelných cech bieżącego okresu jest pogłębiające się nieporozumienie pomiędzy pokoleniem starszym a młodszym. [...] Bardzo możliwe, że uporczywe stanowisko z jednej, a zrozumiała zapalczywość młodszych żywiołów z drugiej strony wytworzyły niepotrzebnie zbyt głęboką przepaść. Istnieją jednak rzeczowe i istotne przyczyny rozdźwięku [...] Wojna dokonała większego przewrotu w pojęciach, psychice i organizacji ludzi, aniżeli o tym potocznie mówimy i sądzimy [...] Ludzie nowi, nadchodzący po tym przedwojennym świecie, znaleźli się jakby sami, bez opieki moralnej. I pomimo że nikt nie podniósł żadnego nowego sztandaru, przez tysiące i miliony młodych umysłów i serc przeszła jedna iskra dziwnie jednolita i pęd do gruntownej przebudowy stosunków życiowych, stworzenia dla nich nowych zasad i podstaw oraz wyzwolenia się z dotychczas obowiązujących. Ludziom tym nic się z oglądanych dotąd urządzeń nie podoba. Stąd w nowym prądzie wyrosło dużo pierwiastka negatywnego, tym bardziej że starsze pokolenie mocno oparło się pierwszym próbom ataku [...] I nie należy sądzić, że omawiane zjawisko jest przywilejem, jak chcą jedni, czy nie-szczęściem, jak twierdzą drudzy — tylko jakiejś jednej warstwy czy grupy społecznej lub politycznej. Walka młodych ze starszymi obejmuje u nas w Polsce wszystkie obozy i warstwy. Ze względów taktycznych toczy się ona nieraz potajemnie, ale ten »pomór« idzie pełną parą przez cały front życia polskiego [...]

„Młodsze pokolenie w Polsce nie rozumie od pierwszej chwili treści dzisiejszego życia polskiego, które ściąga się do starych przebrzmiałych sporów między różnymi grupami starszego społeczeństwa. Osia szeregu najważniejszych zagadnień w Polsce jest dylemat: kto ma większe lub mniejsze zasługi około wskrzeszenia państwa polskiego, kto powinien mieć większy głos obecnie wobec minionych zasług. Nie rozumiemy — przyznajemy otwarcie — w jakim celu rozpatruje się to zagadnienie i dlaczego w Polsce jedni mają być gorsi, a drudzy lepsi, ponieważ tak lub inaczej postępowali w swoim czasie. Tamte rzeczy nic nas nie obchodzą. Ten, kto walczył z bronią u nogi lub na arenie politycznej w czasie wojny o niepodległość Polski — spełnił tylko swój psi obowiązek. To trzeba zupełnie wyraźnie powiedzieć. Mamy pełny szacunek dla bohaterów i wszelkich przywódców, będziemy ich czcili, wyrzemy ich nazwiska na pomnikach, wprowadzimy legendę o nich w system wycho-

wawczy, ale nie zgadzamy się na to, aby z powodu gorzej lub lepiej, mądrzej lub głupiej spełnionego obowiązku i tylko obowiązku, ktokolwiek rościł sobie pretensje na całe życie i zatruwał naszą uwagę ustawicznym przypominaniem swoich zasług i cynicznym dopominaniem się za to wynagrodzenia. Uważamy to za śmieszne pretensje. A jednak wszystkie kwasy, walki i polemiki z uporem godnym lepszej sprawy nawracają bezustannie do tego tematu. Wprost do obrzydzenia. Młodzi rosną w tej atmosferze już od lat piętnastu i nikt nie może się dziwić, że mają już tego aż nadto. Jedyłą słuszną i obowiązującą zasadą upoważniającą Polaka do głosu i jakichkolwiek »pretensji« mogą być jego bieżące zasługi, praca, wysiłek, dorobek. Nic ponadto więcej. Sprzeciwiamy się wszelkiemu kultywowaniu uwieńczonych chwałą i laurami emerytów lub wiecznie nienasyconych frazesowiczów, ludzi, którzy wmówili w siebie, że Polska należy wyłącznie do nich, uważają, że prawo do życia mają tylko oni z tytułu swoich dawnych »zasług«. Ludzie ci nie pamiętają o tym, że jest ich coraz mniej, a równocześnie coraz więcej jest ich synów i córek, których nieopatrznie powołali sami do życia. Nie ma żadnej przyczyny, aby w Polsce ten, który nie z własnej winy — urodził się później i nie brał np. udziału w wojnie lub nie działał przed wojną na polu politycznym — miał głodować dlatego, aby zrobić przyjemność jakiemuś bohaterowi. Obaj mają co najmniej jednakowe prawo do życia. Na tym tle — ściśle życiowym — dojdzie do bezkrwawej może rewolucji z chwilą, gdy młodszym bez względu na warstwy, sympatie polityczne i przekonania — stan obecny do reszty zajdzie za skórę [...] Poczucie rozpanoszonej niesłuszności pokrytej frazesami o szumnych hasłach stawia nas w opozycji do urzędów, wśród których żyjemy. Nie jesteśmy zwolennikami parlamentaryzmu i demokracji, na których niwie bezpośrednio wyrósł ten stan rzeczy (najwięksi, notoryczni demokraci najgłośniej popierają teorię zapłaty za »zasługi«). Nie dalibyśmy ani grosza, a tym bardziej głowy za dzisiejszy ustrój kapitalistyczny, który toleruje głodzenie milionów młodych, zdrowych Polaków.

„Czegóż więc chcemy? Żądamy przede wszystkim dopuszczenia do faktycznego głosu wszystkich, którzy chcą urządzić Polskę na przyszłość tak, aby była państwem i narodem wielkim, potężnym, a równocześnie gwarantującym możliwie znośny byt każdemu Polakowi. Przyszła Polska będzie oczywiście Polską młodego pokolenia i następnych, gdyż dzisiejszych, gorzej lub lepiej zasłużonych, nie będzie już wtedy na świecie. Chcemy więc mieć przynajmniej równomierny swój udział w decyzji w powyższych sprawach, gdyż budowę państwa nie robi się na jeden dzień i na wygodę jednego pokolenia, a tym bardziej grupy. Na dzisiaj żądamy porzucenia podziału społeczeństwa na mniej lub więcej zasłużonych w czasie wojny, gdyż zasługa na wojnie nie daje tytułu ani do rozumu,

ani do wyłączności w uprawnieniach. Polska istnieje dla wszystkich Polaków i wszyscy Polacy muszą się w niej czuć możliwie wygodnie. Jeżeli jesteśmy zaś zwolennikami ustroju hierarchicznego i antydemokratycznego, to zbudowanego na zasadach spełnianej aktualnie pracy i wykonywanego stale wysiłku. Pod tym względem wiek nie może odgrywać żadnej roli.

Jesteśmy za stworzeniem takiego ustroju gospodarczego, który by gwarantował wszystkim ludziom pracy, zarówno intelektualnej, jak fizycznej, słuszny podział zysków, który by przynajmniej ograniczał, jeśli w ogóle uniemożliwiał wyzysk, który by rozdzielił pracę pomiędzy wszystkich Polaków bez względu na ich stan, wiek i inne okoliczności. Jesteśmy szczerymi zwolennikami społecznego zbliżenia i faktycznego zrównania wszystkich warstw w ich prawach do bytu, bez żadnej przewagi jednych nad drugimi. Pod tym względem różnimy się z duchem panującym w całym starszym społeczeństwie bez względu na partie, wychowane w atmosferze walk klasowych, wzajemnych niechęci i podejrzeń. Nie mamy z tym nic wspólnego. Równie cenimy dobrze chłopca, jak robotnika, jak inteligenta. Nie zamyślamy żadnego z nich oszukiwać za pomocą ckliwych cytatów z literatury chłopomańskiej czy jej podobnej”.

W tym samym okresie ogłosiłem także inną wypowiedź, tym razem na łamach „Myśli Narodowej” Zygmunta Wasilewskiego, gdzie pisałem w artykule *Refleksje o bieżących zadaniach*: „Drogi, po których kroczy dziś świat powojenny, nie ułatwiają bynajmniej niezawodnej orientacji w ich doborze. Ani geneza wypadków, ani ich przebieg, a tym więcej horoskopy na przyszłość nie są należycie wyjaśnione. Najtęższe mózgi i autorytety, każdy na swój sposób, tłumaczą teraźniejszość i przewidują przyszłość, tworząc w rezultacie niejednokrotnie tym większy chaos w poglądach społeczeństw.

A tymczasem dzieją się wokół nas i wśród nas rzeczy, nad których biegiem pokolenie współczesne musi uchwycić ster, bo ostatecznie — poza wszelkimi innymi względami — chodzi o jego własną skórę. Ewolucja stosunków, jaka się w świecie dokonuje, zmusza nie tylko do zastanowienia się nad nimi, ale i do szybkiej, ostatecznej decyzji. Sytuacja w Polsce w pewnej mierze ułatwia zarówno obserwacje, jak wysiłek myślowy, jak wreszcie ułatwi niewątpliwie wybór najwłaściwszej drogi.

Jest lepiej, że przed podjęciem ostatecznej decyzji mamy sposobność zaobserwowania szeregu realizowanych już prób nowego porządku, że możemy przeprowadzić na tej podstawie analogię wypadków, że sami, na własnym gruncie, przeżywamy eksperyment będący echem przemian w całym świecie. Daje nam to wszystko mniej więcej jasny obraz położenia i możliwości [...]

Obok demokracji starego typu, opartych o ustrój parlamentarny, które wydają się w tej chwili — jak we Francji i Anglii — niewzruszonymi bastionami, obserwujemy od lat kilkunastu sowiecką republikę rad, której nie zdołały wywrócić ani tysięczne prorocтва o rychłym jej upadku, ani szereg organizowanych krucjat. Wiadomości i rzeczywistość w niczym nie wskazują na likwidację nowego porządku w Rosji, przeciwnie świadczą o jego umacnianiu się. Obok tego olbrzymiego przewrotu jesteśmy świadkami zupełnie nowego, oryginalnego zjawiska w postaci faszystowskiej rewolucji we Włoszech, ostatnio zaś regime'u hitlerowskiego w Niemczech, które swoim rozmachem przypominają największe przewroty, jakie notowała historia. Równocześnie — jakby na urągowisko tym dwu ostatnim rewolucjom — w Hiszpanii montuje się republika o najbardziej starych, wypróbowanych zasadach wieku 19-tego, powstała na gruzach rewolucji Primo de Riveri. Wydaje się bardzo ważnym momentem ustalenie genezy tego pomieszania zasad, prądów i nastrojów, a następnie próba wyszukania w nich ewentualnie wspólnych cech i dążeń”.

Ponieważ publikując we „Wczoraj, Dziś, Jutro” swojego rodzaju manifest znajdowałem się jeszcze ciągle w partii, chociaż już poza tajną organizacją, potraktowano to wystąpienie jako wyzwanie świadczące o podejrzanych, niedwuznacznych planach zbuntowanego rzecznika młodych. Trudno było co prawda z całą stanowczością przewidzieć, jak znaczne są moje możliwości i wpływy, ale do niedawna byłem formalnym i faktycznym przywódcą dużej organizacji i cieszyłem się w niej zaufaniem, popularnością i posłuchem. Wyrażałem poglądy, które nurtowały co najmniej znaczną część, jeśli nie większość młodych ludzi. Niedługo miało się to zresztą potwierdzić. Na razie jednak należało przeciwdziałać. Okazja znalazła się niebawem.

„Kurier Lwowski”, znajdujący się w coraz bardziej beznadziejnej sytuacji finansowej, szukał nowych terenów dla swojej ekspansji. Najbliższym był Kraków, gdzie po ustąpieniu Jana Matyasika z „Głosu Narodu” miejscowa endecja znalazła się zupełnie bez żadnej, choćby częściowo dostępnej dla niej trybuny prasowej. Zdecydowano wobec tego z mutacji „Kuriera” stworzyć pismo dla Krakowa i okolicy i nazwano je „Kurierem Powszechnym”. Impreza była beznadziejna ze względu na znikome wpływy endecji i wyrobioną już pozycję „Ikaca” w Krakowie oraz jego bezkonkurencyjne wpływy w tym środowisku, zresztą rozległe również w całej Polsce. Na redaktora oddziału krakowskiego wyznaczono mnie, aby upiec przy tej okazji dwie pieczenie na raz: usunąć mnie na stałe z terenu lwowskiego i osadzając w Krakowie, gdzie od lat nie przebywałem i straciłem tam wszelkie oparcie, unieruchomić na polu działalności politycznej, a także publicystycznej; z Krakowa pozostawała mi

bowiem w „Kurierze Powszechnym” zaledwie krakowska kronika. Z drugiej strony moja ruchliwość i inicjatywa stwarzały szanse, że pomimo trudności na rynku krakowskim zdołam pismo tam wprowadzić. Nie mając na razie wyboru, przyjąłem tę decyzję do wiadomości z zastrzeżeniem, że udaję się do Krakowa na próbę.

W Krakowie natrafiłem od razu na niepokonane trudności. Marian Dąbrowski uruchomił wszystkie możliwe sprężyny, aby uniemożliwić zarówno obsługę pisma, jak i jego kolportaż. Jako pozakrakowskiemu korespondentowi odmówiono mi przyjęcia do klubu dziennikarzy krakowskich, mającego dostęp do władz policyjnych, miejskich i innych, wskutek czego pozbawiony zostałem bezpośrednich źródeł codziennej informacji. Kioskarze, zrzeszeni w związku inwalidów wojennych, którego prezesem był Marian Dąbrowski, albo odmawiali przyjmowania gazety do sprzedaży, albo przyjmując, nie rozkładali jej wśród innych pism i nie wywieszali ulotek informacyjnych o treści naszej gazety. W ten sposób Kraków w ogóle nie wiedział o istnieniu „Kuriera Powszechnego”. W tych warunkach pomimo mojej interwencji u władz administracyjnych nie było żadnych perspektyw, aby pismo, umocnione na rynku lwowskim, mogło zapewniać co najmniej samowystarczalność wydania krakowskiego. Sam pomysł wprowadzenia pozakrakowskiego pisma jako gazety krakowskiej, jak dowiodło już doświadczenie z „Gońcem Śląskim”, był od początku niefortunny. Niepowodzenie jednak w tej sprawie obciążałoby mnie odpowiedzialnością, naruszając opinię o mojej przydatności w dziedzinie prasowej.

Zaangażowałem do pomocy krakowskiego studenta Bolesława Świderskiego, związanego z naszym ruchem. Były to jego pierwsze kroki w zawodzie dziennikarskim. Po latach Świdorski stał się jednym z czołowych dziennikarzy polskich na emigracji, a przedtem był w Obozie Narodowo-Radykalnym i w Falandze Bolesława Piaseckiego i odbył swój rozdział w Berezie Kartuskiej, a następnie w koncentracyjnym obozie hitlerowskim w Oświęcimiu, po czym po drugiej wojnie stał się głównym wydawcą książek polskich w Londynie, a po kilku latach wydawcą i redaktorem naczelnym emigracyjnego tygodnika „Kronika”. Zmarł niestety przedwcześnie w 1969 r. w Londynie. Nie wiedziałem w Krakowie, że angażując młodego człowieka do pracy reporterskiej, uruchamiam tak wszechstronną energię i znakomitą inicjatywę przyszłego wydawcy i redaktora naczelnego. Z Bolesławem Świdorskim pomimo upływu wielu lat zachowałem od czasów krakowskich trwałe, serdeczne i zawsze przyjazne węzły.

Mój pobyt w Krakowie trwał zaledwie miesiąc. Z końcem stycznia 1934 r. przekazałem Świdorskiemu dalsze prowadzenie krakowskiego oddziału „Kuriera” i zawiadomiłem go, że wyjeżdżam do Lwowa, aby

więcej do Krakowa nie powrócić. O mojej decyzji nie poinformowałem jednak redakcji lwowskiej, natomiast nazajutrz zjawiłem się w gmachu przy ul. Mochneckiego. Wśród innych obecnych w redakcji zastałem również Władysława Tarnawskiego, który wyraźnie podniecony moim widokiem zapytał wprost:

— Co pan tu robi?

— Wróciłem na stałe do Lwowa, ponieważ nie chcę przebywać w Krakowie i moje miejsce znajduje się w redakcji „Kuriera Lwowskiego”.

— Dla pana miejsca we Lwowie już nie ma — oświadczył mi wtedy Tarnawski. We mnie zawrzało.

— A ja pana przekonam, że jest dla mnie miejsce we Lwowie i że ja tu pozostanę — odparowałem z naciskiem.

Rozmowa była skończona. Tego samego dnia wydawnictwo potwierdziło, że w redakcji lwowskiej nie ma dla mnie zajęcia i że mam nadal przebywać z jej ramienia w Krakowie na wyznaczonym posterunku. Nazajutrz pisemnie powiadomiłem redaktora naczelnego, że zrzekam się współpracy z dziennikiem. Kości zostały rzucone. W ten sposób rozstałem się na razie z pismem, przy którego narodzinach wspólnie ze Świrskim brałem najżywszy i pracowity udział, w znacznej mierze przyczyniając się do jego ożywienia, popularności i pozycji na rynku lwowskim [...]

Secesje z endecji w r. 1934 nie były niespodzianką, a w każdym razie nie powinny były być zaskoczeniem dla kierownictwa partii. Dmowski w jednej ze swoich broszur politycznych wydanych w tym okresie — na długo przed rozłamami (*Świt lepszego jutra*) — napisał m.in.: „Zdaje się, że wielu ludzi ma mylne przekonanie, że ta młodzież narodowa, która panuje na wszystkich naszych wyższych uczelniach, jest częścią Stronnictwa Narodowego. Nie tylko ogół młodzieży narodowej, ale tak zwany Obóz Młodych do Stronnictwa nie należy. Nigdy by dzisiejszy ruch wśród naszej młodzieży nie rozwinął się tak szeroko i nie nabrał treści, którą posiada, gdyby próbował być lub gdyby chciano go zrobić ekspozyturą pracy jakiegokolwiek stronnictwa. Bardzo być może — zaznaczył wtedy Dmowski — że w tej nowej organizacji stronnictwa zejda na plan drugi” [...]

Opowiadał mi Zygmunt Wojciechowski, że gdy bawił po raz ostatni w Chłudowie u Dmowskiego, już po rozłamach w 1934 r., ten mu oświadczył w rozmowie, że rozumie naszą decyzję i nie potępia jej, ponieważ posiada ona swoje uzasadnienie na tle zarówno sytuacji w Stronnictwie, jak również zbliżających się wydarzeń w sytuacji międzynarodowej i polskiej. Jest faktem, że Dmowski nigdy publicznie nie potępił naszej decyzji, ani nie zakwestionował jej pośrednio lub bezpośrednio

w jakiegokolwiek swojej wypowiedzi. Sam — jak wiadomo — czterdzieści lat przedtem podjął analogiczną decyzję, dokonując rozłamu w Lidze Polskiej, odrywając od niej środowisko warszawskie i tworząc wtedy samodzielną Ligę Narodową. To wydarzenie stanowiło jeden z nieostatnich naszych argumentów, uzasadniających moralne prawo do secesji. Główną moją ambicją, wokół której skupiała się zawsze większość mojej energii i zapału, była zawsze praca dziennikarska i publicystyczna. Uzupełniały ją etapy działalności politycznej. W stosunku do partii od początku znajdowałem się w stałej opozycji, która z czasem przerodziła się w konflikt.

Wychodziłem z endecji samotnie, nie wiedząc jeszcze na pewno, czy spotkam na tej drodze moich dotychczasowych współtowarzyszy. Nie uczyniłem ani jednego kroku, który by mi miał to zapewnić. Nie nawiązałem również kontaktu z żadnym środowiskiem politycznym, w którym mógłbym upatrywać nowe zaplecze.

Stwarzało to poczucie ucziwego, choć niełatwego stosunku do decyzji, na jaką się ważyłem. Przeciw sobie miałem nie tylko partię, jej rozległą prasę, cały obóz, ale przede wszystkim tajną organizację ze wszystkimi jej mackami i utajonymi wpływami. Za sobą — wówczas nikogo, prócz mego własnego przekonania i świadomości, że nie mogę iść dłużej po dotychczasowej drodze, o ile nie mam się wyprzeć samego siebie. W pierwszych tygodniach i miesiącach zmuszony byłem samodzielnie odpierać ogromną, nie przebierającą w środkach nagonkę połączoną ze zwyczajnym terrorem fizycznym. Walczyłem przeciw temu tylko piórem na łamach mego tygodnika. Napór ten przetrzymałem, nie tracąc nic ani z energii, ani z postawy, jaką przyjąłem. Był to jeden z trudniejszych, jeżeli nie najtrudniejszy okres mego życia, który uznałem jednak za bardzo dla siebie szczęśliwy. Wyzwoliłem się bowiem wtedy z okowów ślepej doktryny i z dyscypliny mafijnej, która mnie dławiała. Przyrzekłem sobie wówczas, że już nigdy w życiu nie pozwolę opętać się więzami konspiracji likwidującej samodzielność myśli i wolność inicjatywy. Odstąpiłem od tego przyrzeczenia jeden jedyny raz w życiu w okresie okupacji hitlerowskiej w Polsce, uczestnicząc w podziemnym ruchu oporu. Awersja do podlegania dyktaturze konspiracyjnej stała się wówczas udziałem wszystkich moich współtowarzyszy po kolejnym ich wyzwoleniu się z jej okowów.

Proces poprzedzający rozłam narastał od dłuższego czasu, chociaż jego przebieg w różnych naszych ośrodkach nie zawsze bywał podobny. Nie istniał również żaden spisek uzgadniający działanie wszystkich ośrodków, przeciwnie wiele z nich do ostatniej chwili pozostawało ze sobą w różnych, nieraz ostrych konfliktach, które były dowodem wewnętrznego chaosu i sygnałem zbliżającej się eksplozji. Zarówno proces

dojrzewania decyzji, jak i sama decyzja posiadały charakter samodzielny i samorzutny, przeważnie niezależny od innych środowisk secesji.

Środowisko poznańskie naszej secesji wedle późniejszych relacji — bezpośrednio przed usamodzielnieniem się nawiązało kontakt z Walerym Sławkiem, z którym przeprowadzał rozmowy Zygmunt Wojciechowski i Jerzy Drobnik. Poznańska grupa nawiązała jednak ten kontakt na własną rękę. Nic o nim przedtem nie wiedziałem [...]

Podjmując moją decyzję nie posiadałem z grupą poznańską żadnej łączności, podobnie zresztą jak ze Stahlem i jego lwowskim zespołem, z którym — po procesie Stahla w konspiracji — pozostawałem w tym okresie w ostrym zatargu. Nie opierałem się także o środowisko warszawskie, które zdążyło do powołania ONR; nie miałem z nim łączności, mimo że uczestniczyło w nim wielu moich bliskich i niedawnych przyjaciół z J. Mosdorfem na czele. „Pragniemy z całym naciskiem podkreślić — pisałem później na łamach „Akcji Narodowej” — że z ONR różnimy się na punkcie oceny sytuacji w Polsce, metod i sposobów, jakimi zdążyć winien dzisiaj obóz narodowy; jesteście natomiast niedaleko narodowych radykałów w zakresie programowym”.

Przemyślałem sytuację samodzielnie i doszedłem do wniosku, że nadszedł czas do praktycznej akcji. Decyzja moja zatrzymała się na planie wydania tygodnika, w którym mógłbym rozwinąć od nikogo niezależną kampanię, przedstawiając zarówno własny punkt widzenia, jak krytykę endecji w sposób, który do tej pory był dla mnie niewykonalny. Największą oczywiście trudnością był jednak problem finansowy. Nie posiadałem żadnych osobistych zasobów nawet na wstępne uruchomienie pisma. Ale miałem zamożnego brata Mieczysława w Poznaniu, który pomimo młodego wieku (był o dwa lata ode mnie młodszy) wspólnie z adwokatem T. Kuligowskim rozwinął doskonale prosperującą kancelarię adwokacką i stał się w tym czasie jednym z bardziej popularnych i znanych młodych adwokatów poznańskich. Zwróciłem się do niego z prośbą o pomoc, pomimo że brat mój nie angażował się dotąd w polityce i nie należał do żadnej partii, poświęcając całą swoją energię zajęciom w kancelarii. Brat, którego zawsze interesowała moja działalność publiczna, aprobował moją sugestię i zadeklarował gotowość pomocy finansowej dla pisma w wysokości 600 zł miesięcznie.

Powróciłem do Lwowa, zawarłem umowę z drukarnią A. Gojawiczyńskiego, po czym przystąpiłem do przygotowania pierwszego numeru. W dniu 13 marca 1934 r. zgłosiłem pisemnie wystąpienie z partii, nie podając żadnych bliższych motywów tego kroku. W dniu 1 kwietnia ukazał się pierwszy w Polsce jawny organ secesji pod tytułem „Akcja Narodowa”, dwutygodnik polityczny, społeczny i kulturalny. Byłem jego wydawcą, redaktorem i w pierwszych kilku numerach jedynym auto-

rem. Redakcja mieściła się w moim prywatnym mieszkaniu przy ul. św. Piotra 6, administracja w lokalu drukarni przy ul. Kopernika 20. W siedem miesięcy później, w październiku 1934 r., „Akcja Narodowa” zaczęła wychodzić trzy razy w miesiącu, przy czym nastąpiła reorganizacja redakcji: zachowałem stanowisko redaktora naczelnego, ale do redakcji weszli Mieczysław Piszczkowski, Zdzisław Stahl i Stanisław Starzewski. Zmiana łączyła się z częściowym wkładem finansowym, jaki trzej wymienieni wprowadzili do wydawnictwa. Łącznie wyszło 40 numerów „Akcji Narodowej”, która ukazywała się we Lwowie do 1 lipca 1935 r.

Grupa Stahla, aczkolwiek współpracowała ze mną i z „Akcją”, spoglądała bardzo niechętnie na inicjatywę spoczywającą wyłącznie w moich rękach i firmowaną tylko moim nazwiskiem, co w różnych okolicznościach mogło ograniczać pozycję Stahla. Wynikła stąd tendencja, aby mój wpływ na „Akcję” ograniczyć, a co najmniej doprowadzić w niej do równowagi wpływów grupy Stahla. Nie miałem w zasadzie nic przeciwko temu. Byłem bowiem przekonany, że pismo nie utrzyma się bez mojego współdziałania i kierownictwa, ponieważ moi trzej przyjaciele nie nadawali się do jego samodzielnego redagowania. Przewidywania te nie okazały się mylne. W marcu zmieniłem drukarnię, przenosząc się od Gojawczyńskiego do Drukarni Naukowej przy ul. Ormiańskiej 8, która stanowiła własność prof. Ryszarda Ganszyńca, znanego i znakomitego filologa uchodzącego za rzecznika poglądów liberalnych i postępowych. Sprawna i rzetelna obsługa techniczna drukarni Ganszyńca wytworzyła rychło miłą atmosferę współpracy z pozornie nieco zdziwaczalnym profesorem. W maju zgodziłem się na zmianę własności pisma i wydawcą został najpierw Stanisław Starzewski, a od 1 czerwca 1935 r. Związek Młodych Narodowców; kierownictwo redakcji objął formalnie komitet redakcyjny, chociaż faktycznie pismo redagowałem ja. Jako redaktor odpowiedzialny podpisywała „Akcję” Jadwiga Porębianka, pracownica administracyjna.

W ten sposób grupa Stahla osiągnęła praktycznie swój cel. Dotychczasowy stan rzeczy sprawiał, że „Akcja Narodowa” łączona była wśród opinii publicznej ściśle ze mną jako jej założycielem, wydawcą i głównym publicystą. Od tej chwili stała się — w pojęciu moich przyjaciół — organem zespołowym. Ale okazało się to tylko złudzeniem. Już w miesiąc później ukazał się ostatni numer „Akcji”, w którym zapowiedziano jego wznowienie w sierpniu. Realizacja tego zamierzenia nie doszła jednak nigdy do skutku. Przyjaciele moi usprawiedliwili swoje zaniedbanie argumentem, że wobec ukazywania się redagowanego przez nas „Dziennika Polskiego”, „Akcja Narodowa” jest niepotrzebna. Mimo to w dwa lata później podjęto w październiku 1937 r. wznowienie „Akcji”, ale

tym razem już w Warszawie. Wydawcą został Zarząd Główny Związku Młodych Narodowców, redakcję powierzono Jerzemu Sadkowskiemu. W jakiś czas później tytuł pisma zmieniono na „Akcję Narodowo-Państwową”. Pismo redagowane było bardzo słabo i wychodziło nieregularnie. Nie miałem z nim praktycznie nic wspólnego. Jedynym celem wydawania warszawskiej „Akcji” było reprezentacyjne utrzymanie w stolicy organu organizacji odgrywającej w tym czasie określoną rolę w ówczesnym układzie politycznym. „Akcja” warszawska nie odegrała jednak już żadnej roli i w rezultacie okazała się w tym okresie raczej zbyteczną pozycją prasową.

Powołanie do życia „Akcji Narodowej” wywołało powszechne poruszenie zarówno wśród endecji, jak jej przeciwników. Był to pierwszy w owym czasie jawny wyłom w endecji, po którym wkrótce nastąpiły inne. Rządowa „Gazeta Polska”, centralny organ piłsudczyzny, pisała o „rozłamie” w Stronnictwie Narodowym, którego dokonał „b. przywódca Obozu Wielkiej Polski, a następnie szef Ruchu Młodych w Małopolsce Wschodniej, który należał do najwybitniejszych działaczy endeckich młodego pokolenia”. „Ilustrowany Kurier Codzienny” notując to wydarzenie pisał o „frondzie” w Stronnictwie Narodowym, na czele której stoi Klaudivsz Hrabyk, eksponent Ruchu Młodych na gruncie lwowskim. „Treść »Akcji Narodowej« — dodawało to pismo — jest zdecydowanie opozycyjna w stosunku do rządu”. Podjąłem akcję propagandową pisma, zamawiając m.in. wywieszki reklamowe w tramwajach lwowskich. Spotkały się one ze sprzeciwem ówczesnego sanacyjnego prezydenta miasta Drojanowskiego, który kazał je usunąć.

„Nie ma jednej recepty na budowanie Polski narodowej — pisałem w pierwszym numerze mojego dwutygodnika w artykule *Nasz pogląd*. — Musi być ich tyle, ile jest możliwych okoliczności, wśród jakich przyjdzie się jej rozwijać. Państwo polskie jest za wielką wartością, aby można było eksperymentować. Życie Polski musi nabrać cech stałości i ciągłości, a nie toczyć się jak dawniej od powstania do powstania w ciągłych konwulsyjnych drgawkach”. W tym samym artykule jako zasadnicze dążenia pisma podkreślałem jego niezależny charakter, stanowiący palącą potrzebę wobec braku istnienia w Polsce prasy tego typu, następnie nadanie idei narodowej czynnej roli w życiu polskim i wyprowadzenie jej z bierności, kierowanie się w życiu politycznym realizmem, a nie doktrynami. Podkreśliłem konieczność zainteresowania się sprawami kultury, tak bardzo lekceważonej w dotychczasowej prasie endeckiej. W tym samym numerze na pierwszej stronie ogłosiłem artykuł *Pozycja świata pracy*. Na treść numeru, obok artykułów, składały się stałe rubryki: „Zdarzenia i oceny”, „Na marginesie”, „Głosy” i „Wśród książek”.

W drugim numerze pisałem: „Ukazanie się »Akcji Narodowej« stało

się w polskim życiu politycznym zdarzeniem, które skupiło uwagę. Stwierdzić to nam przychodzi bez cienia zarozumiałości. Nikogo nie zamierzamy nakłaniać i kaptować. Uważamy się raczej za element pomocniczy w mającym się dokonać procesie myślenia społeczeństwa, który ułatwi przełamanie zardzewiałych szablonów”.

Szczególne poruszenie wywołała „Akcja Narodowa” w środowisku lwowskim, szczególnie wśród jego młodszych żywiołów. Echo odezwało się nie tylko w kołach młodzieży endeckiej, ale również lewicowej i postępowej.

Już w pięć miesięcy potem w sierpniu ukazał się obszerny, największego formatu numer „Akcji Narodowej” poświęcony literaturze i zasilony wielu znamienymi w tym okresie nazwiskami lwowskich pisarzy. Na treść numeru złożyły się: mój wstępny artykuł *Uniwersalizm myśli narodowej*, artykuły: Karola Kuryluka, który był redaktorem lwowskich „Sygnałów”, *Idea i program*, Ludwika Lille *O przyszłość sztuk plastycznych we Lwowie*, Aleksandra Baumgardtena *Chwila w dawnym Lwowie*, S. A. Kruczkowskiego *Poezja dzisiejszości* oraz wiersze Tadeusza Hollendra, A. A. Kruczkowskiego, Macieja Freudmana, Zdzisława Kunstmana, Stanisława Rogowskiego, Aleksandra Baumgardtena, Władysława J. Turzańskiego, Mariana Promińskiego, Krzysztofa Popiella, Antoniego Gronowskiego, a także tłumaczenia *Narcyza Łukijanowicza* i Antoniego Kurdyduka. Zespół autorów stał się sensacją w świecie zarówno literackim, jak politycznym nie tylko Lwowa i świadczył o sympatiach dla pisma w szerokich kołach społeczeństwa o różnorodnych postawach ideologicznych. Niektórzy z autorów należeli do wyraźnie radykalnych kół literackich i nie mieli nic wspólnego z endecją i jej ideologią. Ich udział w numerze literackim „Akcji” świadczył co najmniej o dużym kredycie moralnym, jakiego pismu udzielali.

Nie brakowało objawów tego kredytu także i z innych stron. W numerze grudniowym ukazał się artykuł arcybiskupa Teodorowicza, *Fundament życia państwowego*, będący jego kazaniem. Zgody na opublikowanie arcybiskup udzielił na moją prośbę. Ogłosiłem artykuł z adnotacją, że redakcja została do tego upoważniona przez autora. Nazwisko Teodorowicza na łamach „Akcji” wywołało popłoch i zamęt w szeregach endeckich. W „Kurierze Lwowskim” ukazał się komentarz usiłujący podważyć znaczenie tej wyraźnej sympatii arcybiskupa dla mojego pisma, ale próba spaliła na panewce. Teodorowicz, nie zaprzeczając udzielonego mi uprawnienia, potwierdził milcząco swoją zgodę na udział w nowym piśmie. Odpowiadając na ten komentarz pisałem o „nerwowej bieganinie białych Murzynów z folwarku przy ul. Mochneckiego” (gdzie mieściła się redakcja „Kuriera Lwowskiego”).

We wrześniu ogłosiłem obszernie, życzliwe omówienie książki Stani-

sława Grabskiego *Trzeba szukać drogi wyjścia*. Grabski zrywał w tej książce z polityką „bezrobotnej opozycji i negacji Stronnictwa Narodowego”. W tym samym numerze ukazał się artykuł Stanisława Bienkowskiego, „byłego oboźnego” Obozu Wielkiej Polski w województwie lwowskim, o Targach Wschodnich. W. Floryan ogłosił w tym czasie entuzjastyczną recenzję o powieści Jalu Kurka *Grypa szaleje w Naprawie*.

Stanisław Grabski wystąpił wkrótce z odczytem na wspólnym zebraniu lwowskiego Związku Młodych Narodowców i Organizacji Myśli Politycznej. Echa tego wystąpienia odezwały się w wielu pismach, m.in. w „IKC”, „Dzienniku Bydgoskim”, „Głosie Narodu”, „Chwili”, „Dile” i in. W ten sposób w różny sposób wzmacniałem i pogłębiałem moją inicjatywę i w miarę czasu utrwaląłem nową pozycję.

Na łamach „Akcji Narodowej” rozwinąłem przede wszystkim kampanię publicystyczną, której celem była próba sformułowania nowych zasad dotyczących polskich zagadnień ideologiczno-politycznych i uzasadnienia mojego zreformowanego stanowiska politycznego [...]

Wkrótce po opublikowaniu cyklu ideologiczno-programowego na łamach „Akcji Narodowej” zwrócił się do mnie Bernard Połoniecki, jeden z najstarszych i najbardziej znanych księgarzy i wydawców lwowskich, z propozycją, abym zgodził się na wydanie moich artykułów w formie książki. Jej sfinansowania podjął się sam Połoniecki. Propozycja doświadczonego i zasłużonego wydawcy, posiadającego własną księgarnię przy ul. Akademickiej, nie tylko urzeczywistniała moje ciche, choć — zdawało się — nieziszczalne marzenia, ale stała się wyrazem wyjątkowego uznania ze strony wytrawnego wydawcy, a zapewne także jego przekonania, że książka uzyska popularność i uznanie wśród szerszych kół społeczeństwa. Połoniecki był pochodzenia żydowskiego, należąc do sfer asymilatorskich i był gorącym patriotą polskim. Jego więc inicjatywa była dla mnie szczególnie znamienita, posiadała nie małą wagę wymowę, a ponadto oznaczała duży sukces. Oczywiście zgodziłem się na przedstawiony mi projekt i wkrótce moja książka, wydana nakładem lwowskiej Księgarni Polskiej, ukazała się na witrynach księgarskich. W księgarni Połonieckiego poświęcono jej przez wiele dni całą wystawę.

Książce dałem tytuł *Nowe drogi w polityce narodowej* [...]

Grupa nasza wyróżniała się w ogóle wielką ruchliwością wydawniczą. Oprócz trzech periodyków („Awangarda”, „Czuwamy”, „Akcja Narodowa”) wyszły w tym czasie — oprócz wspomnianych już książek R. Piestrzyńskiego, Z. Stańła i moich — Jerzego Drobnika *Przed startem*, *Przesilenie współczesnej polityki* i *W ogniu przemian*, Janusza Makowskiego *Na przelomie pokoleń*, Antoniego Malatyńskiego *Niemcy pod znakiem Hitlera* i *Na manowcach Stronnictwa Narodowego*, Ryszarda Piestrzyńskiego *O co chodzi?*, Mieczysława Piszczkowskiego *Przyczyny upad-*

ku Polski a chwila bieżąca, Klaudiusza Hrabyka, Mieczysława Piszczkowskiego i Zdzisława Stahla *Nowa konstytucja Polski*, Zdzisława Stahla *Uwagi o władzy państwowej, Wobec zagadnień gospodarczych i Listy polityczne*, Szymona Szafrąńskiego *Wieś polska*, Zygmunta Wojciechowskiego *O nowoczesny polski obóz państwowo-narodowy*, Jana Zdzitowieckiego *Ku lepszej przyszłości*. W Bibliotece Awangardy wyszły poza tym książki prof. Tadeusza Lehra-Spławińskiego *Język polski jako zwierciadło kultury narodu*, Jana Zdzitowieckiego *Eurice Corradini i nacjonalizm włoski*, Zygmunta Wojciechowskiego *Elementy rodzinne w cywilizacji polskiej*, *Myśli o polityce i ustroju narodowym*, *Gdy Polska opuściła Odrę*, Jana Szyszczyńskiego *Echa przeszłości* i inne.

Żadna z grup młodego pokolenia z szeregów obozu narodowego nie wykazała się w tym czasie tak znaczną inicjatywą pisarską i wydawniczą w dziedzinie formułowania nowej postawy politycznej. Nasz dynamizm w tej dziedzinie zwrócił niebawem uwagę opinii politycznej i niewątpliwie posiadał znaczny wpływ na kształtowanie się poglądów młodszych szeregów endecji bez względu na dzielące je wówczas różnice, a także oddziaływał na ośrodki kierownicze obozu ówczesnej piłsudczyzny. W trzy lata później nasza ekipa ze Związku Młodych Narodowców znalazła się w centralnych ośrodkach prasowych tego obozu, obejmując w nich stanowiska kierownicze.

Tymczasem jednak staliśmy w ogniu ostrej walki z endecją, która zagrożona, z jednej strony przez secesję Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR), z drugiej przez nas, tj. przez Związek Młodych Narodowców, podjęła gwałtowną, nieprzebierającą w metodach kampanię przeciw „odstępcom” [...]

W dziesięć dni po ukazaniu się pierwszego numeru „Akcji Narodowej”, partia, wobec znacznego poruszenia opinii publicznej, nie mogąc przemilczeć mojej secesji, zdecydowała się na ogłoszenie komunikatu w „Kurierze Lwowskim”. Brzmiał on następująco: „W kilku dziennikach pojawiła się wiadomość o rzekomym rozłamie w Stronnictwie Narodowym na terenie Lwowa. Otóż jesteśmy upoważnieni do stwierdzenia, że w obrębie Stronnictwa Narodowego nic nikomu nie jest wiadome o takim rozłamie poza faktem, że jeden jedyny dr Klaudiusz Hrabyk, który dopiero od kilku miesięcy był członkiem stronnictwa, opuścił przed dwoma tygodniami jego szeregi, a od 1 lutego redakcję „Kuriera Lwowskiego” motywując to ostatnie względami materialnymi. W imię prawdy dodać należy, że dr Klaudiusz Hrabyk od dłuższego czasu nie odgrywał żadnej roli w tzw. Ruchu Młodych”.

Rzeczywistej prawdy w tym komunikacie była tylko bardzo skromna część. Prawdą było, że wystąpiłem ze Stronnictwa Narodowego, należąc do niego rzeczywiście zaledwie od niespełna pół roku, ale przedtem

przez pełnych lat czternaście należałem do obozu endeckiego i zajmowałem w nim wśród młodego pokolenia kierownicze stanowiska. Prawdą było również, że od dłuższego czasu, bo od roku, nie odgrywałem roli w Ruchu Młodych, ponieważ ten w tym okresie nie istniał, rozwiązany przez władze sanacyjne. Prawdą również było, że ustąpiłem z redakcji „Kurieria Lwowskiego”, ale nie ze względów materialnych, które nie miały z tą sprawą nic wspólnego i ten chwyt w komunikacie miał na celu przejrzystą i niepoważną intencję dyskryminowania motywów mojej postawy. Po opuszczeniu „Kurieria Lwowskiego” — mówiąc nawiasem — pozostałem bezrobotny co najmniej do maja 1935 r., tj. przez przeszło jeden rok, ponieważ „Akcja Narodowa” była wydawnictwem deficytowym i nie przynosiła w ogóle dochodów.

Komunikat nie odniósł jednak pożądanego skutku. Wobec tego podjęto dalsze środki zapobiegawcze. Wobec zwiększającej się popularności mego tygodnika i utworzonej w kilka tygodni po jego ukazaniu się lwowskiej komórki Związku Młodych Narodowców złożonej z członków dawnego Ruchu Młodych, którzy zgłosili akces do mojej inicjatywy, spróbowano metod nacisku i terroru. Najpierw zorganizowano uliczną demonstrację złożoną z kilkudziesięciu ludzi, którzy pewnego dnia przybyli pod kawiarnię Szkołką przy ul. Akademickiej, gdzie zwykle w wolnych godzinach przebywałem przy małej czarnej, spotykając się tam ze znajomymi i przyjaciółmi. Demonstranci wznosili hałaśliwe okrzyki przeciwko mnie i zamierzali prawdopodobnie wejść do kawiarni. Wówczas zdecydowałem się ich uprzedzić i zaskakując demonstrantów, wyszedłem z kawiarni, wchodząc wprost między nich. Większość z nich była do niedawna moimi przyjaciółmi. Moja determinacja zaskoczyła grupę nasłanych przeważnie studentów, którzy przepuścili mnie bez żadnych przeszkód. Spokojnie odszedłem, pozostawiając zdumionych chłopaków przed kawiarnią.

Gdy nie pomogła ta forma nacisku, zastosowano inną. Pewnego wieczoru idąc w towarzystwie znajomej niezbyt oświetloną ul. Kochanowskiego zostałem w rejonie istniejącego tam wówczas rozległego i pustego pola napadnięty znienacka przez jakiegoś „delegata” partyjnego, który po wykonaniu swego „zadania” uciekł w ciemności pustego pola tak szybko, że nie zdążyłem nawet zauważyć jego twarzy. Nazajutrz w „Kurierze” ukazała się notatka o tym zajściu, chociaż nie było przy nim żadnego świadka oprócz mnie, mojej towarzyszki i napastnika. W ten jednak sposób dysponenci napadu pokwitowali swój wyczyn, wykonany zresztą niepotrzebnie z tak znaczną dozą „delikatności”, ponieważ można było w tym zaułku spokojnie i bezkarnie mnie zmasakrować. Organ Stronnictwa Narodowego w Poznaniu „Kurier Poznański”, redagowany przez Mariana Seydę, napisał w związku z tym napadem: „Samo przez

się rozumie, że niezależnie od bardzo krytycznego stosunku naszego do dra Klaudiusza Hrabyka jesteśmy stanowczymi przeciwnikami takich metod w walce politycznej”. Ale był to jedyny tego rodzaju głos wśród prasy partyjnej przeciwstawiający się kryminalnym metodom bojówek partii. Partia pełnym krokiem wchodziła w tym czasie na drogę terroru i rozboju.

Ale występ na ul. Kochanowskiego nie przyniósł także oczekiwanego rezultatu, ponieważ mnie nie zastraszył i nie ograniczył mojej aktywności.

W kilka tygodni później do Zdzisława Stahla i Stanisława Starzewskiego, z którymi nawiązałem już kontakt i współpracę, zgłosiło się dwu przedstawicieli tajnej organizacji — skądinąd sympatyczny i rozsądny Adam Macieliński i Roman Blum. Macieliński — jak stwierdzał to skierowany później przeciw niemu akt oskarżenia przedłożony przez prokuratora sądowi lwowskiemu — domagał się, abym dobrowolnie do dni trzech doręczył na jego ręce pisemną deklarację, w której zobowiązę się, nie podając motywów, do zrezygnowania ze stanowiska redaktora naczelnego „Akcji Narodowej” oraz jej współpracownika i ustąpię ze wszystkich stanowisk kierowniczych piastowanych w Związku Młodych Narodowców. W najbliższym numerze „Akcji Narodowej” — zgodnie z żądaniem Macielińskiego — miała się ukazać notatka zawiadamiająca, że ustąpiłem ze stanowiska naczelnego redaktora „Akcji Narodowej” i przestałem być współpracownikiem tego pisma. W następnym numerze „Akcji” miała się ukazać druga notatka podająca, że ustąpiłem również ze stanowiska kierownika ogniska Związku Młodych Narodowców we Lwowie i przestałem być jego członkiem. W razie niezłożenia deklaracji do dni trzech — oświadczył Macieliński Stahlowi i Starzewskiemu — organizacja tajna będzie uważała, że jej propozycje nie zostały przyjęte i wtedy ogłosi kompromitujące mnie dokumenty. W czasie zeznania w sądzie Macieliński nie zaprzeczył tym faktom, natomiast wyraził „zdziwienie”, że Stahl i Starzewski uznali za wskazane poinformować o tym wszystkim prasę, ponieważ propozycje w mojej sprawie miały mi — zdaniem przedstawicieli mafii — „ułatwić” wycofanie się z życia publicznego w zacisze życia prywatnego. Macieliński dodał, że właśnie dlatego rozmowa posiadała charakter „poufny”, a on występował w imieniu młodego pokolenia obozu narodowego, zgrupowanego w sekcjach Młodych Stronnictwa Narodowego i innych organizacji młodzieży narodowej. Zarówno cała ta niecodzienna inicjatywa i metoda, jak i tok rozumowania szantażystów, skądinąd przecież inteligentnych i zdawałoby się normalnych ludzi, odsłaniała dno demoralizacji w środowisku tajnej mafii endeckiej, a co najmniej jej lwowskiego odłamu, oraz zanik poczucia elementarnych zasad życia publicznego wśród tych ludzi.

Na zapytanie, o jakie dokumenty chodzi, obaj rzecznicy mafii odmówili odpowiedzi. Stahl i Starzewski bezzwłocznie zawiadomili mnie o tej niezwyklej rozmowie zapytując, co w tej sprawie zamierzam uczynić. Bez chwili namysłu oświadczyłem, że udaję się bezpośrednio po rozmowie z nimi do prokuratora, wnosząc prośbę o pociągnięcie obu rzeczników mafii do odpowiedzialności karnej za próbę szantażu. Tak też uczyniłem. Sprawcy wymuszenia, nie wiedząc jeszcze o mojej decyzji i nie otrzymawszy ode mnie odpowiedzi, wydali w kilka dni później nadzwyczajne wydanie ukazującego się we Lwowie pisma studenckiego „Młodzi”, w którym ogłosili owe „kompromitujące” dokumenty. Był to po prostu nie obszerny zresztą wykaz niektórych długów, które wynikły w związku z moimi osobistymi stałymi trudnościami finansowymi, brakiem zarobków w okresie rocznej służby wojskowej, spłacanymi długami w drukarni po dwutygodniku Zadereckiego i innymi, rozlicznymi kłopotami, które w latach młodości zawsze na ogół mi towarzyszyły. Zaciągałem na te cele pożyczki w Miejskiej Komunalnej Kasie Oszczędności, aby wiązać koniec z końcem i oczywiście powoli spłacałem zobowiązania, nigdy z nich jednak w tym czasie nie wychodząc w całości. Po ukazaniu się dodatku nadzwyczajnego z tymi „rewelacjami” ogłosiłem oświadczenie na łamach „Akcji Narodowej”, w którym m. in. pisałem: „Winien jestem opinii i moim młodym i starym przyjaciołom, już teraz, bodaj ogólne wyjaśnienie kampanii i tak zwanych zarzutów, jakie posypały się na mnie ze strony pewnych sfer obozu, którego członkiem i nie ostatnim działaczem byłem i jestem okrągło przez lat czternaście. Jakież są to zarzuty, pod brzemieniem których miałbym się wycofać z życia publicznego, jak to żądają moi zawzięci, młodzi przyjaciele? Kilka niezgrabnych kłamstewek i niekompletny spis moich zobowiązań finansowych, które już od dość długiego szeregu lat, bo nie od 1935 r., są moim ciężkim zmartwieniem, a które, jak dotąd, są jedyną »realną«, osobistą pozycją po stronie »zysków« na przestrzeni kilkunastu lat mojej skromnej pracy publicznej. Czy mam wyjaśniać, skąd ta pozycja urosła? Trzeba by chyba pisać dość obojętny dla osób postronnych życiorys młodego człowieka, który w najgorszym okresie, od najniższych szczebli, samodzielnie borykając się z życiem, starał się służyć w miarę swoich sił i uzdolnień ukochanej sprawie, a już tak się składało, że go życie i ryzykancki temperament rzucał po dość podłych placówkach pracy. Dobra to była i jest szkoła życia i życzę jej każdemu, kto pragnie je naprawdę poznać. A że przy tym wszystkim urosło spore, jak na jedno ludzkie ramię, wzgórze trosk finansowych, to już moja rzecz prywatna, którą zniosę, a da Bóg i po kolei wyrównam. Nie wiem, dlaczego martwią się nimi moi młodzi przyjaciele, wśród których olbrzymia większość nie ma wszakże o życiu jeszcze żadnego, najmniejszego pojęcia. Mylicie się,

moi młodzi przyjaciele, sądząc, że odkryto już wszystkie moje finansowe ciężary. To zaledwie jedna szóstą ich część. Czyście jednak pytali innych o ich analogiczne przewiny? Czy wiecie np., jaki bezmiar nie kończących się długów, niezapłaconych zobowiązań, wobec których zarzuty wasze są niewinną igraszką, ciąży na »Kurierze Lwowskim« i innych wydawnictwach Stronnictwa Narodowego? A przecież nie zamierzacie ich — i słusznie — wzywać do usunięcia się z życia publicznego, bo to pisma, które działają i pracują w bardzo ciężkich warunkach, choć w błędnym kierunku. Czy mam pytać o troski waszych najstarszych przewodców? Kiedyś dowiecie się i wy o tym, kiedy założycie własne ogniska domowe, kiedy niejednemu zabraknie chleba dla rodziny, a mimo to nie ustąpi z pola walki i działania. Jeszcze jedna moja mała pretensja. Wysłano na mnie jakichś nie znanych mi ludzi, aby mnie napadli. Marnie wykonali to niewdzięczne zadanie. Mogli wszakże przyjść śmiało do mnie, przystąpić w biały dzień na ulicy lub w oświetlonym miejscu wieczorem. Mieliśmy równe szanse i po dwie gołe pięści. Stało się inaczej. Napadli mnie w ciemnym miejscu, znienacka, ledwie uderzyli i w śmiesznym pośpiechu uciekli. Pytam was wszystkich, czy koniecznie musimy zejść do takich metod? Ci, którzy sądzili, że pod naciskiem i terrorem skapitulują, byli nader śmiesznymi optymistami. Przeciwnie. Zostanę i pójdę dalej z tym większym przekonaniem, że musimy was, młodszych, wyprowadzić z tej drogi, po której idziecie, dając sobie naiwnie narzucać sposoby i metody walki niegodne szlachetnej i młodzieńczej duszy”.

Prokurator pociągnął Macielińskiego i Bluma do odpowiedzialności karnej i rozprawa przeciw nim odbyła się 1 kwietnia 1935 r. Blum odegrał podczas spotkania ze Stahlem i Starzewskim rolę raczej bierną, towarzysząc Macielińskiemu jako świadek. Rozprawę sądową prowadził sędzia G. Petryszyn, oskarżonych bronił Pieracki i R. Żywicki, z mojego ramienia występował A. Błażejowski. Główny nacisk w czasie rozprawy kładliśmy obaj na system anonimowości inicjatywy oskarżonych. Zabierając głos oświadczyłem wtedy, że na ławie oskarżonych siedzą tylko ślepe pionki, natomiast — mówiłem, zwracając się do Pierackiego — właściwi inspiratorzy i sprawcy tej niegodziwej i haniebnej metody znajdują się za kulisami i występują na tej sali w innym charakterze. Sąd skazał każdego z oskarżonych po dwa tygodnie więzienia, ale na moją prośbę zawiesił im tę karę na dwa lata. Ogłosiłem w „Akcji” stenograficzne sprawozdanie z tego procesu, który zdemaskował środowisko mafijne posługujące się szantażem i terrorem. Podziało to ostudząco na moich obecnych przeciwników z partii i spowodowało zaniechanie dalszych, tak bardzo dotąd nieskutecznych prób terroru podejmowanego w stosunku do mnie. Zanim jednak odzyskałem spokój, musiałem przejść przez niełatwą walkę prowadzoną przeciw mnie nikczemnymi i zdumie-

wającymi metodami, jeśli zważyć, że inicjowali je ludzie obozu głoszącego hasła chrześcijańskie i katolickie i przeciwstawiającego się ponadto systemowi sanacyjnemu i jego brutalnym metodom walki z przeciwnikami.

Nie zaniedbywano równolegle kampanii prasowej na łamach pisma, tłumaczącej dobrotliwie młodym żywiołom bezzasadność konfliktu ze starszymi i doradzano im podporządkowanie się starej gwardii. Artykuły zdradzały obawy o następstwa mojej inicjatywy tym więcej, że wokół narastały dalsze niepokojące objawy.

Wszystkiego jednak widocznie było za mało, ponieważ podjęto nadzwyczajne środki ostrożności także w redakcji „Kuriera”. W dniu ogłoszenia komunikatu w sprawie mego wystąpienia z redakcji i partii, ze szpałt pisma usunięto nazwisko Świrskiego jako wydawcy i redaktora naczelnego, a na jego miejsce jako wydawca wystąpił Dominik Maciejko. Świrskiego podejrzewano bowiem o współdziałanie ze mną, w czym zresztą nie było w tym czasie ani cienia prawdy; moje stosunki ze Świrskim w tym okresie raczej ochłodziły ze względu na dzielące nas różnice poglądów. Świrski bowiem — jak już wspominałem — należał do skrzydła demokratycznego partii i stał blisko Stanisława Grabskiego. Pieracki i towarzysze obawiali się mimo to, że wspólnie ze Świrskim mógłbym opanować redakcję. Maciejko był postacią nową i występował jako człowiek zaufania Pierackiego, w którego kancelarii pełnił funkcję młodego aplikanta. Nie przedstawiał żadnych walorów ani politycznych, ani umysłowych, był ślepy, posłusznym narzędziem swego szefa, który w swoim mniemaniu zabezpieczył się w ten sposób przed wszelkimi niespodziankami ze strony jakiegokolwiek rewolty w piśmie. Maciejko nie należał jednak do mafii i nie posiadał dlatego ani jej mandatu, ani zaufania. Zespół zaś redakcji Maciejkę, który sprawował swoje funkcje z prymitywną i przesadną gorliwością typu policyjnego, oceniał jako „ustawiacza”, wobec którego w różny sposób stosowano bojkot. Atmosfera stała się w najwyższym stopniu naprężona i przykra.

Świrski przez jakiś czas pisywał jeszcze w dzienniku, ale w cztery miesiące później redakcję naczelną objął Jan Matyasik, już poprzednio zaangażowany jako korespondent pisma z Paryża. W czerwcu 1935 r. Świrski został wykluczony z partii. Matyasik, były redaktor naczelny krakowskiego „Głosu Narodu”, uchodził wśród niektórych kół za znakomitego publicystę, którym w rzeczywistości jednak nie był. Był to człowiek wprawdzie dość uzdolniony, ale bardzo chaotyczny, z niezrównoważoną osobowością i o wyjątkowo ograniczonej wyobraźni politycznej. Znałem go dość długo, ale nigdy nie nabrałem do niego przekonania. Matyasik przebywał często we Francji, którą bezkrytycznie uwielbiał, podobnie jak gen. Sikorskiego. Uważał się za jego osobistego przyjaciela

i powiernika, chociaż nigdy nie sprawdziłem, czy były to istotnie więzy wzajemnego zaufania. Sam Matyasik na dowód swojej przyjaźni z Sikorskim opowiadał mi raz we Lwowie z niemałą dozą naiwności, że w czasie jakiegoś spotkania z generałem, obaj zamienili przez pomyłkę kapelusze i Matyasik chełpił się przede mną, że od tego czasu nosi kapelusz Sikorskiego, a Sikorski używa jego kapelusza. Po tym wyznaniu Matyasika ustaliłem sobie pogląd na poziom i wartość jego politycznego autorytetu.

Obecność Matyasika w redakcji na czołowym stanowisku była w tych warunkach polityczną zagadką. Endecja zajmowała wobec Sikorskiego jak najbardziej odporne i niechętne stanowisko, upatrując w nim jeśli nie przywódcę, to jedną z czołowych postaci tak zwanego Frontu Morges, związanego z Ignacym Paderewskim, ale przede wszystkim z masonerią. Koneksje Sikorskiego z kołami francuskimi były w endecji tłumaczone właśnie jego powiązaniem z masonerią. Ten zarzut — jak wiadomo — wystarczał, aby Dmowski, a za nim cała oficjalna góra partii zajmowała wobec generała stanowisko krytyczne. W tej sytuacji zaproszenie Matyasika, nie ukrywającego swoich związków z Sikorskim, na stanowisko naczelnego redaktora organu partyjnego, stwarzało nieodparte wrażenie frondy w stosunku do oficjalnej opinii kierownictwa partii. W każdym razie nie mogło to znajdować aprobaty tajnej organizacji, a szczególnie jej młodszych żywiołów. Mnie zaś dawało to znaczny argument w kampanii zarówno przeciw starym, jak młodym w partii tolerującym tego rodzaju stan rzeczy w dzienniku partyjnym.

Jakkolwiek by oceniać ten fakt, świadczył on na pewno o pogłębiającym się chaosie i rozbieżnościach w łonie partii, która coraz bardziej zamieniała się w zlepek nieskoordynowanych tendencji. Od współpracy z pismem pod nową redakcją odsunęła się zdecydowana większość dotychczasowych publicystów — pokaźny i wszechstronny wachlarz piór. W okresie Matyasika pismo zasilali głównie Teodor Parnicki, Marian Rojek, Stanisław Skrzypek, Jan Bielatowicz z Krakowa, Helena Blumówna, Władysław Tarnawski i Adam Macieliński. W porównaniu z dawną wielką ekipą był to zespół bardziej niż skromny. Objętość pisma została wydatnie zmniejszona [...]

Tymczasem jednak zaszły inne wydarzenia, ważne dla dalszego rozwoju sytuacji. 9 czerwca 1934 r., a więc w niewiele ponad dwa miesiące po mojej secesji, ukazał się w prasie następujący oficjalny komunikat partii: „W związku z wystąpieniem z [sejmowego] Klubu Narodowego posłów Piestrzyńskiego, Dembińskiego i Stahla prezydium Stronnictwa Narodowego nadesłało następujący komunikat: posłowie Piestrzyński, Dembiński i Stahl od pewnego czasu prowadzili działalność polityczną niezgodną z ogólną linią stronnictwa i Klubu Narodowego. Wywołało to słuszne niezadowolenie, a nawet oburzenie lokalnych organizacji SN. W tym stanie rzeczy prezydium Stronnictwa Narodowego zażądało

w stanowczej formie od wymienionych posłów albo podporządkowania się ideologii i taktyce stronnictwa, albo złożenia mandatów. W odpowiedzi na to żądanie posłowie ci zgłosili wystąpienie z Klubu Narodowego. W listach wysłanych do prezydium Klubu, a donoszących o wystąpieniu, posłowie Piestrzyński, Dembiński i Stahl usiłują swoją niesubordynację wobec Klubu i stronnictwa tłumaczyć w ten sposób, że weszli oni do Sejmu nie jako członkowie Stronnictwa Narodowego, lecz w charakterze przedstawicieli Obozu Wielkiej Polski względnie Ruchu Młodych. Ani OWP, ani nie istniejący podówczas samodzielnie Ruch Młodych nie miały w swych celach i zadaniach akcji parlamentarnej. Prowadziło ją w imieniu całego obozu narodowego Stronnictwo Narodowe i ono jedynie było za tę akcję odpowiedzialne. Parlamentarny Klub Narodowy był i jest przedstawicielstwem parlamentarnym wyłącznie Stronnictwa Narodowego, a nie żadnych innych organizacji politycznych. Posłowie Piestrzyński, Dembiński i Stahl przez z górą trzy lata nie kwestionowali formalnie tego stanu rzeczy. Dlatego obecne uzasadnienie przez nich wystąpienia z Klubu musi być traktowane jako niezgodne z rzeczywistością”.

Komunikat ten ujawnił otwarty rozłam w klubie poselskim. Rozłam dokonało trzech posłów sejmowych obok znacznej ilości działaczy i przywódców w terenie. Piestrzyński był członkiem Związku Młodych Narodowców i jednym z głównych jego działaczy poznańskich. Stahl do tego Związku nie należał, ale był czołową postacią z terenu lwowskiego. Dembiński był również znanym przedstawicielem grupy młodych.

Moje stanowisko było najbliższe tej grupie [...]

Nieco wcześniej, z końcem kwietnia 1934 r., w miesiąc po ukazaniu się „Akcji Narodowej”, a na miesiąc przed komunikatem Stronnictwa Narodowego ujawniającym secesję trzech posłów z klubu sejmowego partii, proklamowano w Warszawie powstanie Obozu Narodowo-Radykalnego z Janem Mosdorfem na czele i większością czołowych warszawskich ludzi Ruchu Młodych lub Obozu Wielkiej Polski. Organem codziennym ONR stało się „ABC” pod redakcją Wojciecha Zaleskiego. Wieloletni konflikt wewnętrzny zakończył się potężną dwukierunkową eksplozją wewnątrz partii, po której nie doszła już ona nigdy do równowagi. W tej eksplozji pierwszą iskrą zwiastującą i inaugurującą jej początek była moja samotna i samodzielna decyzja [...]

Po ustalonym porozumieniu z grupą Stahla postanowiliśmy wzmocnić naszą pozycję przy pomocy poszerzenia bazy. W tym celu nawiązaliśmy kontakt ze Stanisławem Grabskim, który wprowadzie ideowo i politycznie był nam raczej odległy, ale po pierwsze wywodził się z endecji, a po drugie pozostawał w stosunku do jej aktualnego stanowiska w opozycji. Był poza tym bezspornym autorytetem. Zgodnie z zasadą, że przeciwnicy

naszych przeciwników są naszymi przyjaciółmi, we czwórkę, tj. Stahl, Starzewski, Mieczysław Piszczkowski i ja, udaliśmy się na Wólkę, gdzie Grabski mieszkał. Tam podczas dłuższej, kilkugodzinnej wyczerpującej rozmowy uzgodniliśmy platformę współdziałania, nie przesadzając zbyt precyzyjnie szczegółowego stanowiska w sprawach zasadniczych. Obopólna gra nie była zbyt szczerą, ale na pewno dla obu stron na bieżąco korzystna. Współdziałanie z Grabskim stwarzało korzystniejszy klimat w niektórych kołach endecji i redukowało ich impet zwrócony przeciwko nam. Dla Grabskiego kontakt z wychowankami Dmowskiego i znanymi przywódcami młodego pokolenia był moralną satysfakcją, a także nie ostatnim argumentem w jego rozgrywce z Dmowskim. Sądzę poza tym, że nie była obca Grabskiemu nadzieja, że potrafi nas w końcu związać ze sobą i ze swoimi koncepcjami politycznymi i że przy pomyślnym rozwoju współpracy może to w pewnym sensie wzmocnić jego plany. Na razie jednak nie wdawaliśmy się w tak odległe perspektywy.

Chociaż nie stanowiliśmy liczbowo dużej grupy, głównie dzięki „Akcji Narodowej” inicjatywa nasza wyróżniała się znacznym dynamizmem. „Akcja” skupiła spory poczet autorów. Pisali do niej Zygmunt Wojciechowski, Jerzy Drobnik, Zygmunt Szafranski, Antoni Malatyński, Maciej Freudman, Władysław Wielgus, Franciszek Pajączkowski, Czesław Lechicki, Władysław Daszewski, Józef Ślebodziński, Marian Karpiński, Leon Kaltenbergh, Zbigniew Sadkowski i inni. Mieczysław Pruszyński z „Buntu Młodych” przeprowadził ze mną wywiad prasowy. Potem ogłosiłem oświadczenie dementujące moją rzekomą wypowiedź atakującą m. in. gwałtownie Dmowskiego. Dmowskiego osobiście w tym okresie nigdy nie atakowałem.

Kontynuowałem natomiast kampanię prasową przeciw Stronnictwu Narodowemu i jego działaczom, głównie lwowskim. M. in. ukułem wtedy slogan o „froncie Morszyn”, parafrazując nazwę „Frontu Morges”. Morszyn był znanym kąpieliskiem i uzdrowiskiem przeznaczonym do leczenia przewlekłych chorób starczych, do którego corocznie wyjeżdżali wybitniejsi działacze endeccy. Slogan o „Froncie Morszyn” złośliwie przypominał starczy uwiad kierowniczych kół endecji [...]

Z początkiem 1935 r. sanacyjny Legion Młodych z kolei podjął przeciwko mnie gwałtowny atak, na który odpowiadałem na łamach „Akcji”.

Nie zaniechała ataków również endecja. Ich echem były procesy sądowe, które wytaczałem w tym czasie z różnych powodów. Odbyła się m. in. z mojego oskarżenia rozprawa przeciw ówczesnemu redaktorowi odpowiedzialnemu „Kuriera Lwowskiego” Marianowi Ostrowskiemu o obrazę godności osobistej, w której sąd uwolnił oskarżonego. Innym razem proces toczył się przeciw temu samemu Ostrowskiemu i Marianowi Rojkowi, także o obrazę godności i sąd tym razem skazał Rojka[...]